„Wywiad" doniósł, że Koszalin zostanie „zaszczycony" trzydziestoma sztukami kolorowych telewizorów marki Neptun. No i co? Szanse marne. Pewnie jedna, dwie sztuki będą uszkodzone, coś pójdzie lewym kanałem lub – jak kto woli – spod lady. Ale przez noc wszystko może się wydarzyć – trwamy w kolejce.

Godzina pierwsza – sprawdzanie obecności. Jednej osoby przed nami nie ma, krecha po nazwisku – jesteśmy na pozycji dwudziestej dziewiątej. Koczujemy dalej, sen nas morzy, jest też trochę chłodno.

Szósta z minutami – po sprawdzeniu obecności jesteśmy o oczko wyżej. Po pięciu minutach przybiega skreślony nieszczęśnik i tłumaczy, że musiał kupić bułki dla rodziny. „A żona co robi?" – pojawia się pytanie. „Śpi" – pada odpowiedź. „Mogła nie spać i iść po bułki, to byłby jeszcze telewizor". Mężczyzna z płaczem wraca do domu zjeść świeże pieczywo.

Punkt dziesiąta otwierają sklep – towar dojechał. Kolejka się zagęszcza. Sprzedaż idzie sprawnie. Dostajemy ostatni i przedostatni telewizor – to prawdziwy fart. Nic nie poszło spod lady i wszystkie sztuki były sprawne. W pełni szczęścia wracamy do domu.

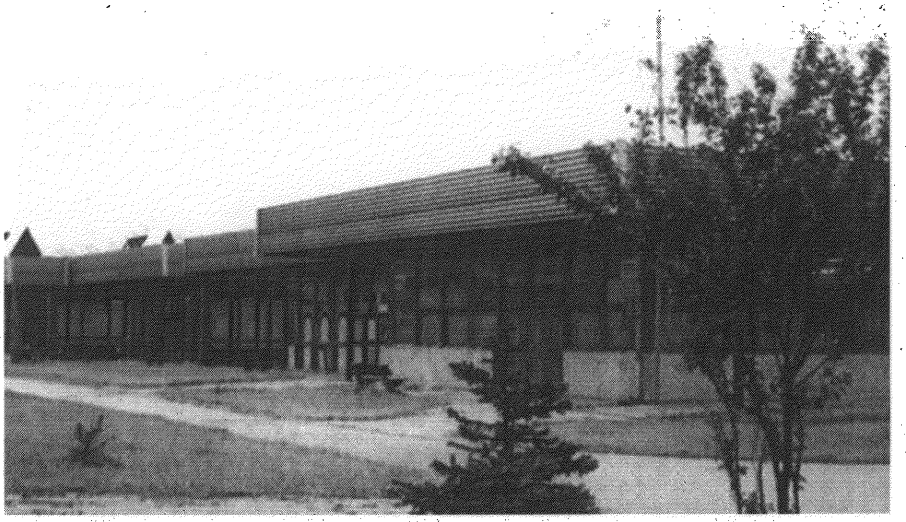

Pawilony na terenach podożynkowych, 1977 r.; archiwum rodzinne Ryszarda Lautenbacha

Na grzyby..., czyli kto ma większego

Będzie o grzybach. 12 października 2013 roku – jak co tydzień – wyjechaliśmy rowerowo na jedną z wielu pięknych podkoszalińskich tras. Dla rozgrzewki zaliczamy podjazd w kierunku Lubiatowa. Pomimo lekkiego chłodu wszyscy „parują".

W Manowie pod sklepem regulaminowy przystanek. Przyjmujemy to, co zabrane z domu i kupione u pani (niech będzie) Zosi. W ramach miłości do zwierząt częstujemy miejscowego kota (rudzielca) maślanką i ruszamy do boru.

Grupa dzieli się na rowerowców wyścigowców i rowerzystów grzybiarzy-krajoznawców. Wyścigowcy pomknęli, a reszta – co ważne – w znaczącej większości rusza w las. Natura, o dziwo, obrodziła, co chwilę ktoś oznajmia radosnym okrzykiem o znaczącym grzybowym znalezisku. Po godzinie z małym okładem mamy zapeł-

Żona autora z ich drugim synem koło amfiteatru, 1982 r.; archiwum rodzinne Ryszarda Lautenbacha

nione sakwy. Rozpoczyna się licytacja, kto ma największego – oczywiście – grzyba. Mój prawdziwek jednogłośnie zwycięża. Uwieczniamy trofeum i ruszamy dalej – na ziemniaki i ich różne przetwory w osnowie plenerowej imprezy.

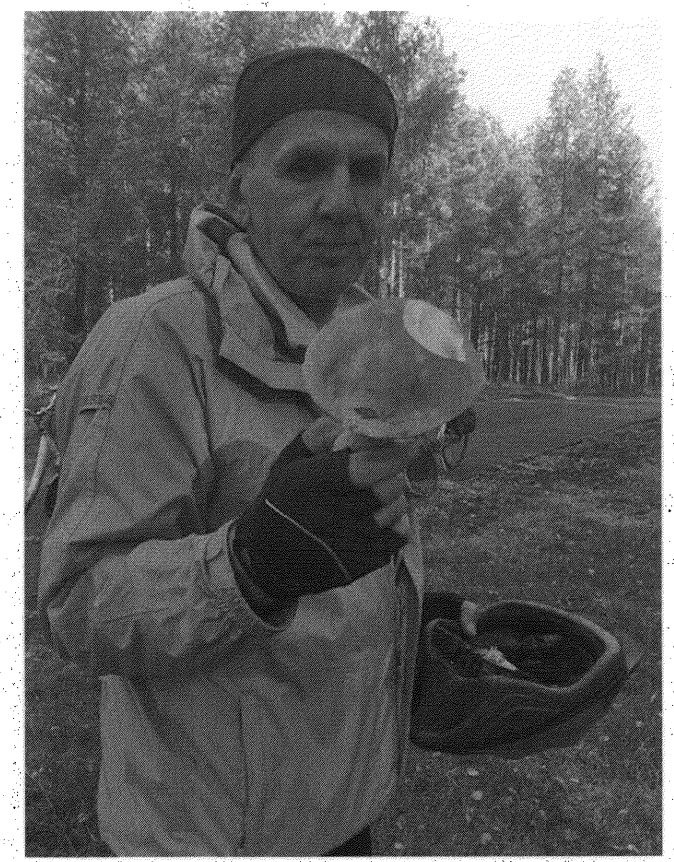

Autor z grzybowym trofeum, okolice Lubiatowa, 2013 r.; archiwum rodzinne Ryszarda Lautenbacha

Marianna Ławniczak

Moje cudowne emeryckie lata

W kwietniu 1991 roku podjęłam bardzo trudną dla mnie i ważką decyzję o zmianie pracy. Przez prawie dwadzieścia jeden lat pracowałam w jednym dużym (około trzech tysięcy pracowników) zakładzie pracy w Stargardzie Szczecińskim, gdzie zaczynałam od stażu, dochodząc przez różne stanowiska aż do szefa produkcji. Był to czas, kiedy zmieniał się w Polsce ustrój społeczny oraz system gospodarczy: z systemu socjalistycznego przechodziliśmy do kapitalizmu i gospodarki rynkowej. Zaczynały się tworzyć prywatne firmy z udziałem kapitału zagranicznego. Za namową znajomych zdecydowałam się zmienić pracę i przejść z przedsiębiorstwa

ROK URODZENIA: 1951

MIEJSCE URODZENIA: Bielawy, woj. łódzkie

DROGA DO KOSZALINA: Bielawy, Łódź, Stargard Szczeciński

OD KIEDY W KOSZALINIE: kwiecień 1991 r.

ZAWÓD (WYUCZONY, WYKONYWANY): ekonomistka

IMIONA I NAZWISKA RODZICÓW: Stanisław Ławniczak ∞ Wanda z d. Wiśniewska

MIEJSCA URODZENIA RODZICÓW: Bielawy, woj. łódzkie

ZAWODY RODZICÓW: rolnicy

IMIONA I NAZWISKA DZIADKÓW: Marcin Ławniczak ∞ Antonina z d. Marciniak || Wawrzyniec Wiśniewski ∞ Marianna z d. Gawlik

ZAWODY DZIADKÓW: rolnicy

państwowego do małej niemieckiej firmy (około dwustu osób). Na początku moja płaca w niej wzrosła dwukrotnie, ale po pięciu latach pracy nie uległa zmianie. Zdecydowałam się na kolejną zmianę zatrudnienia, ale okazało się to dla mnie fatalne w skutkach, bo po trzech latach firma upadła i ja w wieku czterdziestu siedmiu lat zostałam bez pracy.

Doświadczyłam, co to znaczy być za dobrze wykształconą, z za dużym doświadczeniem, a przede wszystkim za starą kobietą, aby uzyskać jakąkolwiek pracę. Po siedmiu miesiącach udało mi się uzyskać pracę na umowę-zlecenie w innym mieście, gdzie z doświadczeniem w branży odzieżowej zajmowałam się opracowywaniem biznesplanów dotyczących budownictwa mieszkaniowego, tak zwanych TBS-ów. Po pół roku udało mi się znaleźć pracę w Koszalinie, ale w wieku pięćdziesiąt plus musiałam skończyć trzecie studia podyplomowe, które zagwarantowały mi pracę do emerytury.

Występ zespołu „Volare" na VI Juwenaliach Trzeciego Wieku, autorka pierwsza z prawej, Warszawa, 2013 r.; archiwum rodzinne Marianny Ławniczak

Gdy zbliżał się koniec mojej pracy zawodowej, zaczęłam się zastanawiać, co będę robiła z wolnym czasem. Jestem osobą samotną, nie mam wnuków, cała moja rodzina mieszka w centrum Polski. Po przejściu na emeryturę, w firmie, która wcześniej mnie zatrudniała, załatwiłam sobie najpierw jedną czwartą, później pół, następnie już trzy czwarte etatu, bo nie umiałam inaczej żyć. Kiedy pracowałam, zawsze byłam bardzo aktywna i zaangażowana społecznie, kończyłam różne kursy i studia podyplomowe, a tu nagle wszystko to okazało się już niepotrzebne. Tyle doświadczenia i wiedzy stało się bezużyteczne!

Chyba w drugim miesiącu emerytury – w kwietniu 2007 roku – w jednej z koszalińskich gazet znalazłam informację, że na Politechnice Koszalińskiej od października będzie otwarty Uniwersytet Trzeciego Wieku. Postanowiłam się zapisać. A tam okazało się, że można na przykład uczyć się języków obcych – języka angielskiego uczę się już sześć lat, przez dwa lata chodziłam na język francuski, który mnie zawsze fascynował. Jednak najważniejsze stały się dla mnie – dające mi ogromną satysfakcję – zajęcia z tańca. Uczęszczam do dwóch grup tanecznych.

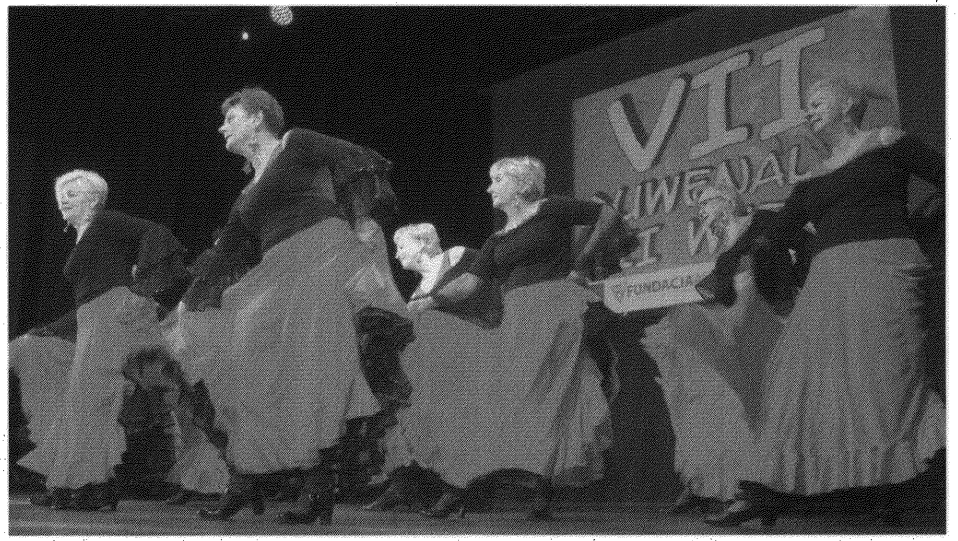

Występ zespołu „Volare"
na VII Juwenaliach Trzeciego Wieku,
autorka pierwsza z prawej,
Warszawa, 2014 r.; archiwum
rodzinne Marianny Ławniczak

Co roku wyjeżdżamy na ogólnokrajowe Juwenalia Trzeciego Wieku do Warszawy, na które przyjeżdża do trzech tysięcy osób. Dla mnie najwspanialsze chwile mają miejsce, gdy odbywają się koncerty. Wtedy chóry, które są obecne na juwenaliach, śpiewają razem z występującą akurat gwiazdą – zaczyna widownia z parteru teatru, potem przyłącza się balkon... Tak się właśnie stało, kiedy śpiewał dla nas Zbigniew Wodecki i Joanna Rawik. Coś wspaniałego! Żyć nie umierać!

Teraz na emeryturze, już bez strachu, że będę musiała żyć bez pracy, realizuję swoje marzenia. Nawiązując do nazwy serwisu internetowego „Cudowne lata", mogę powiedzieć, że moje cudowne lata zaczęły się w dniu, w którym przeszłam na emeryturę. Oby Uniwersytet Trzeciego Wieku na Politechnice Koszalińskiej działał sto lat, a ZUS nie upadł!

Występ zespołu „Gracja" z okazji Dnia Kobiet, autorka pierwsza z lewej w pierwszym rzędzie, Klub Oficerski, 2014 r.; archiwum rodzinne Marianny Ławniczak

Paweł Michalak

Historia dwóch rodów

W wolnym kraju odzyskujemy pamięć historyczną i możemy mówić prawdę o historii naszej i naszych rodzin, których losy uświadamiają nam, jakie piętno wycisnęła na nas, Polakach, II wojna światowa. Dwa imperializmy zgotowały nam straszny los. Zginęło sześć milionów obywateli Polski. Z premedytacją, zgodnie z ustalonym planem obaj agresorzy mordowali polską inteligencję. W Teheranie i Jałcie zadecydowano o naszych losach. Postanowiono tam – bez nas – o zmianie granic Polski, o przesiedleniu milionów ludzi na niespotykaną wcześniej skalę.

Dziś żyjemy w polskim Koszalinie, do którego po wojnie przybyli moi rodzice i rodzice mojej żony Haliny. To miasto stało się małą ojczyzną osadników, żołnierzy i przesiedleńców, którzy jednak do końca w sercach nosili obrazy swoich krain dzieciństwa.

Rok urodzenia: 1951

Miejsce urodzenia: Koszalin

Droga do Koszalina: –

Od kiedy w Koszalinie: od urodzenia

Zawód (wyuczony, wykonywany): inż. mechanik

Imiona i nazwiska rodziców: Stanisław Michalak ∞ Marianna z d. Krawczyk

Miejsca urodzenia rodziców: Cienia, pow. sieradzki ∞ Solec n. Wisłą

Zawody rodziców: leśnik ∞ pielęgniarka

Imiona i nazwiska dziadków: Władysław Michalak ∞ Franciszka z d. Poter || Antoni Krawczyk ∞ Marianna z d. Dziwisińska

Zawody dziadków: rolnik, ogrodnik ∞ gospodyni || rolnik ∞ gospodyni

Mój ojciec Stanisław urodził się w 1925 roku w Cieni w powiecie sieradzkim, tam dziadek Władysław prowadził gospodarstwo rolno-ogrodnicze. W 1938 roku kupił spore gospodarstwo (siedemnaście hektarów) w Milczu nad Notecią.

Wybuch wojny zniweczył plany i marzenia ojca, który nie zdążył rozpocząć nauki w gimnazjum. W 1940 roku Michalakowie zostali wypędzeni przez Niemców ze swojej ziemi (mieli pół godziny na opuszczenie domu) i przesiedleni do Zielonki koło Warszawy. W jednym pokoju mieszkały dwie rodziny. Tam mój ojciec jako piętnastolatek pracował w tartaku i uczył się na tajnych kompletach.

W 1941 roku rodzina przeprowadziła się do Koluszek. We wrześniu 1943 roku Stanisław został aresztowany przez gestapo jako zakładnik za akcję przeciw

Marianna Michalak – pielęgniarka w Oficerskiej Szkole Samochodowej, Koszalin, 24 III 1947 r.; archiwum rodzinne Pawła Michalaka

Niemcom i wysłany na roboty do Mannheim. W czasie transportu próbował ucieczki w Lipsku, ale schwytano go i wysłano na budowanie umocnień pod Pskowem. Zmuszono go do pracy w niemieckiej firmie Wilhelm Horn.

Podczas jednego z radzieckich nalotów w październiku 1943 roku ojciec uciekł do radzieckiej partyzantki i znalazł się w czwartym oddziale 10. leningradzkiej brygady partyzanckiej, gdzie walczył z Niemcami do marca 1944 roku. Tymczasem Niemcy – przekonani, że Stanisław zginął podczas nalotu – wysłali powiadomienie do rodziny o jego śmierci. Rodzice aż do 1945 roku żyli w świadomości, że utracili najstarszego syna.

W marcu 1944 roku Stanisław wstąpił do 1. Armii Wojska Polskiego w Sielcach nad Oką, znalazł się w 3. Dywizji Piechoty im. Romualda Traugutta. Przeszedł cały szlak bojowy aż do Berlina. W 1946 roku dotarł do Koszalina jako dowódca plutonu w Oficerskiej Szkole Samochodowej.

Wojna zabrała mu szansę na naukę, którą po wojnie postanowił wykorzystać. Zaczął uczęszczać do gimnazjum wieczorowego (dzi-

Marianna i Stanisław Michalakowie, Koszalin, 27 IV 1947 r.;
archiwum rodzinne Pawła Michalaka

siejsze I Liceum Ogólnokształcące im. Stanisława Dubois), gdzie poznał swoją przyszłą żonę – Mariannę Krawczykównę. Po wielu zabiegach udało mu się zdemobilizować z wojska i podjąć naukę w Gimnazjum i Liceum Leśnym w Margoninie, które ukończył w 1949 roku. W 1950 roku moi rodzice – Stanisław i Marianna – zawarli związek małżeński.

Moja mama pochodzi z Solca nad Wisłą (urodziła się w 1924 roku) z wielodzietnej rodziny chłopskiej. Po śmierci swojej matki, jako czternastoletnia dziewczynka, została wysłana do stryja mieszkającego w Rożyszczach pod Kowlem na Wołyniu. Tam zastał ją wybuch wojny. W 1941 roku rozpoczęła pracę w szpitalu. Doświadczyła traumy mordów na Wołyniu dokonanych przez bandy Ukraińskiej Powstańczej Armii

Autor przy sanitarce
Sanatorium Przeciwgruźliczego,
Koszalin, 5 VIII 1952 r.;
archiwum rodzinne
Pawła Michalaka

(UPA). Widziała straszne oblicze wojny. W czerwcu 1944 roku została zmobilizowana do służby sanitarnej Armii Polskiej w ZSRR, wcześniej odbywając szkolenie pielęgniarskie w szpitalu w Kijowie.

Do Koszalina trafiła w lipcu 1945 roku ze swoją jednostką i podjęła pracę w szpitalu garnizonowym przy ulicy Juliana Fałata 3 (dzisiaj Dom Miłosierdzia). To miasto ją urzekło – postanowiła tu zamieszkać. Gdy się nieco urządziła, sprowadziła do siebie brata i trzy siostry, którzy tu zamieszkali i pozakładali rodziny.

Mama dokończyła przerwaną przed wojną edukację w Państwowej Szkole Pielęgniarskiej w Szczecinie. Niemal całe swoje życie zawodowe spędziła, pracując w Państwowym Sanatorium Przeciwgruźliczym na Rokosowie, pełniąc do 1979 roku obowiązki siostry przełożonej.

Sanatorium było specyficznym miejscem – znakomita kadra lekarzy z dyrektorem Felik-

Marianna i Stanisław Michalakowie z dziećmi: Pawłem i Anią, Koszalin, 14 VI 1953 r.; archiwum rodzinne Pawła Michalaka

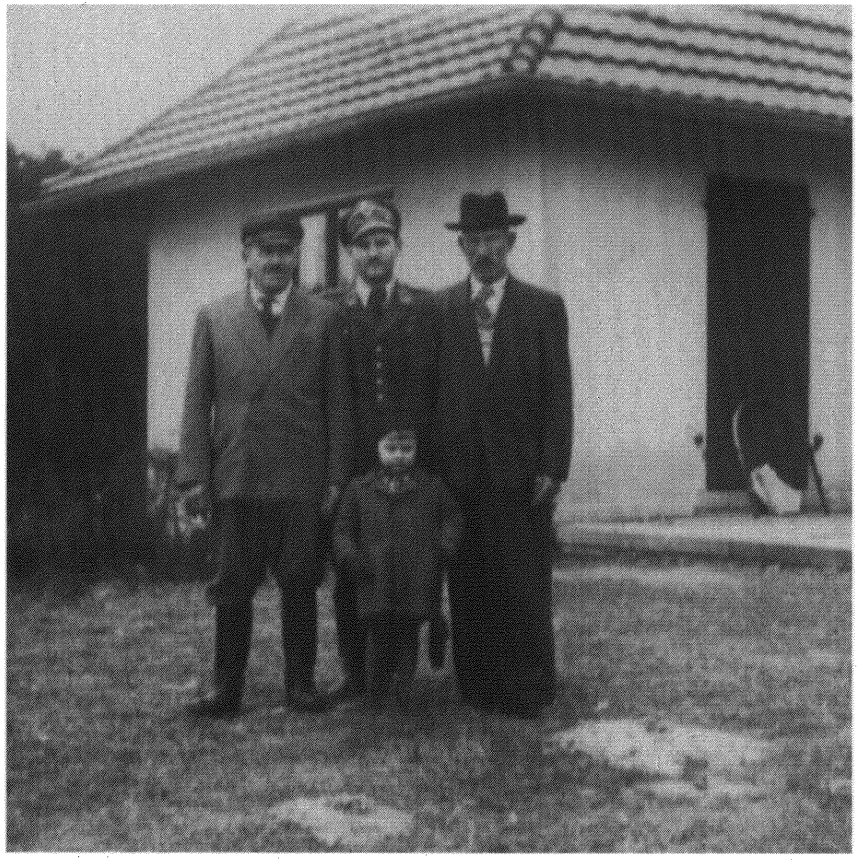

sem Pawłowiczem i lekarzami – dr Marią Tomaszewską, dr. Władysławem Sitką, dr. Jerzym Matyjkiem, dr. Bogdanem Parczewskim, dr. Ignacym Wierzbickim, farmaceutą Kazimierzem Stawiarskim – tworzyła wspaniałą atmosferę współpracy w walce z groźną wtedy gruźlicą. Budowała też więzi koleżeńskie, spotykając się prywatnie często w domu moich rodziców.

Stanisław i Marianna otrzymali mieszkanie służbowe w okazałej poniemieckiej willi na obrzeżach lasu na ulicy Sanatoryjnej. Stworzyli dom dla siebie i swoich trojga dzieci. Byli członkami zżytej społeczności Rokosowa, udzielając się w działaniach społecznych. Wspólnie z sąsiadami i pa-

Od lewej: dziadek Antoni, ojciec Stanisław i dziadek Władysław z małym Pawłem przed domem rodzinnym, Koszalin, 20 IV 1954 r.; archiwum rodzinne Pawła Michalaka

cjentami z sanatorium zbudowali mały amfiteatr, plac zabaw, organizowali zawody sportowe, jednym słowem – tworzyli na Rokosowie swoją małą ojczyznę.

Niestety, w latach siedemdziesiątych zburzono ich dom oraz budynki i gospodarstwa należące do sąsiadów, bo miał tu powstać szpital wojewódzki. Jeszcze raz rodzice zaczynali swoje życie od nowa – w bloku na ulicy Spółdzielczej. Oboje rodzice mają szereg odznaczeń wojennych, także Krzyże Kawalerskie Orderu Odrodzenia Polski, a mama za swoją służbę pielęgniarską otrzymała medal Florence Nightingale.

Dom rodziny Michalaków
przy ul. Sanatoryjnej 21, zburzony w 1976 r.;
archiwum rodzinne Pawła Michalaka

Stanisław i Marianna są rodzicami trojga dzieci: syn Paweł (urodzony w 1951 roku) jest pierwszym absolwentem Wyższej Szkoły Inżynierskiej w Koszalinie, samorzą-

dowcem, senatorem VI kadencji, działaczem społecznym; córka Anna Romanowska (urodzona w 1952 roku) jest znaną koszalińską lekarką hematologiem i córka Małgorzata (urodzona w 1958 roku), którą losy zawiodły do dalekiej Szwajcarii.

Moi rodzice dochowali się pięciu wnuczek i ośmiorga prawnuków.

Rodzice mojej żony Haliny to Emil i Danuta Turowscy. Emil pochodził z Kresów, dzieciństwo i młodość spędził w Busku, małym miasteczku pod Lwowem, gdzie jego ojciec Michał pracował w dobrach hrabiego Badeniego. Rodzice Emila, choć sami pokończyli ledwie szkoły powszechne w zaborze austriackim, dbali o wykształcenie trójki swoich dzieci.

Emil skończył prawo na Uniwersytecie Jana Kazimierza we Lwowie. Niestety, nie dostał się przed wojną na aplikację, bo nie miał ani pochodzenia, ani znajomości. Wybuch wojny i wkroczenie Sowietów na Kresy postawił rodzinę wobec groźby wywózki na Sybir. Mieli już wyznaczony termin, gdy Niemcy napadli na Związek Radziecki. Śmiertelne niebezpieczeństwo zagrażało teraz i od Niemców, i od Ukraińców. W pobliskich wsiach miały miejsce rzezie

Marianna i Stanisław Michalakowie z dziećmi: Pawłem i Anią, Koszalin, maj 1957 r.; archiwum rodzinne Pawła Michalaka

Ania, Małgosia i Paweł Michalakowie – czwarte urodziny Małgosi, Koszalin, 22 II 1962 r.; archiwum rodzinne Pawła Michalaka

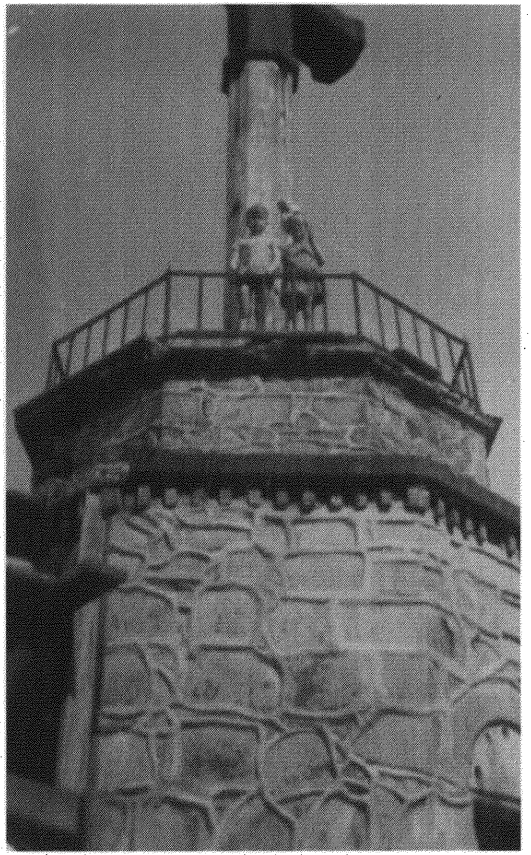

Paweł i Ania Michalakowie na Górze Chełmskiej, 25 V 1958 r.; archiwum rodzinne Pawła Michalaka

(w takich okolicznościach zginęła bliska rodzina Turowskich).

W 1944 roku Turowscy udali się na tułaczkę, zostawiając dom, ziemię, inwentarz, wierząc, że niebawem – kiedy nastanie pokój – wrócą. Oczywiście nigdy nie było im dane nawet odwiedzić rodzinnych stron.

Danuta – z domu Michałowska – pochodziła z Brodnicy. Jej ojciec pełnił tam funkcję wicestarosty. Rodzice byli przedstawicielami polskiej inteligencji i na pewno znajdowali się na listach proskrypcyjnych Niemców. Dlatego wraz z wybuchem wojny rodzice piętnastoletniej Danuty uciekali przed śmiertelnym zagrożeniem na Kresy, szukając schronienia u rodziny, z nadzieją, że niebawem wojna się skończy.

W tak dramatycznych okolicznościach los zetknął ze sobą Emila i Danutę. Po kilkuletnim narzeczeństwie pobrali się w 1943 roku i już razem z ca-

Paweł, Ania i Małgosia Michalakowie, Koszalin, 1 IX 1964 r.; archiwum rodzinne Pawła Michalaka

łą rodziną szukali swojego miejsca z dala od Lwowa. Uciekali na zachód od Bugu, do Przemyśla, potem Rzeszowa i dalej. W 1944 roku urodził się im pierwszy syn Tadeusz. Zostawiwszy rodziców i rodzeństwo na Dolnym Śląsku, Emil i Danuta wraz z synkiem przyjechali na Ziemie Zachodnie.

Dyplom absolwenta prawa dał szansę Emilowi na ukończenie aplikacji, zdanie egzaminu sędziowskiego w Gdańsku i podjęcie pracy w charakterze sędziego w Kołobrzegu. W 1949 roku Emil i Danuta Turowscy przenieśli się do Koszalina, zamieszkali na ulicy Jana Matejki, później przeprowadzili się na ulicę Stanisława Wyspiańskiego. Tam urodziło się im drugie dziecko – córka Halina, a po sześciu latach – najmłodszy syn Stefan.

Turowscy mieszkali w dużym, ładnym mieszkaniu, ale zmorą tamtych lat było dokwaterowywanie lokatorów. Nauczony złymi doświadczeniami z nieproszonymi gośćmi, Emil sprowadził do Koszalina swoją owdowiałą matkę wraz z siostrą Anną, absolwentką studium nauczycielskiego, która w Koszali-

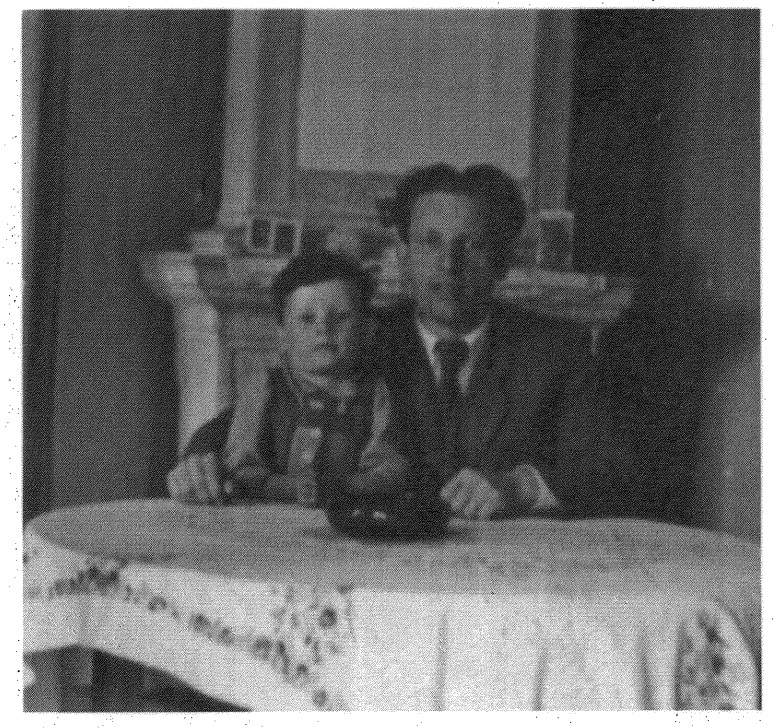

Emil Turowski z synem Tadeuszem, Koszalin, czerwiec 1949 r.; archiwum rodzinne Pawła Michalaka

nie objęła funkcję nauczycielki, potem dyrektorki przedszkola wojskowego na ulicy Józefa Piłsudskiego. Mieściło się ono w okazałej willi z pięknym ogrodem. Dziś znów jest w rękach prywatnych właścicieli, którzy doprowadzili ją do dawnej, przedwojennej świetności. Anna Turowska pracowała w tej placówce do emerytury.

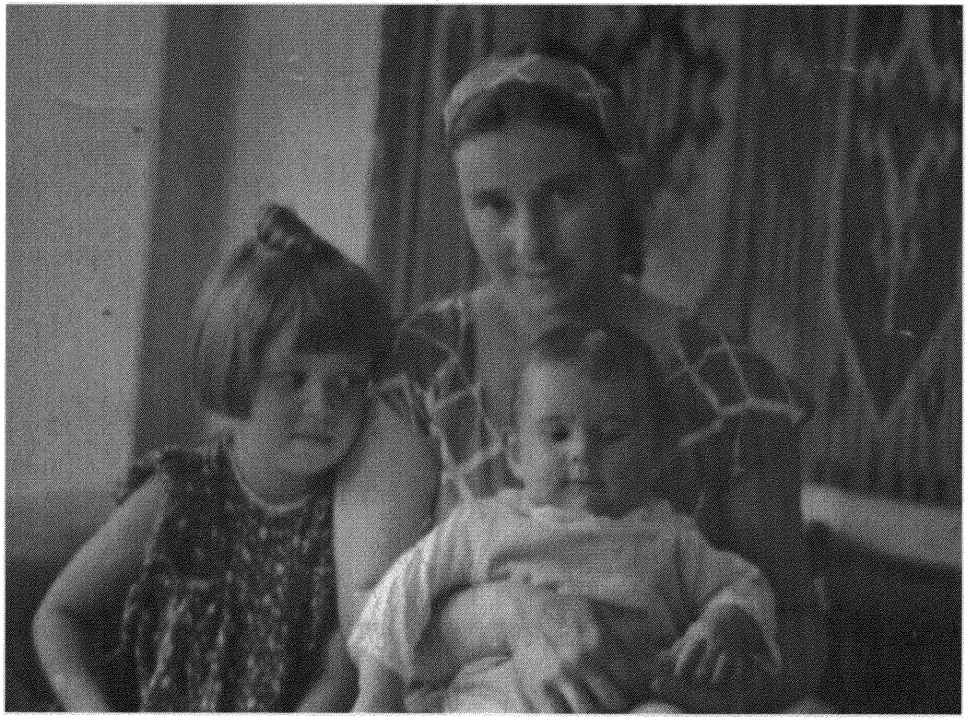

Danuta Turowska z małą Halinką i Stefanem w mieszkaniu przy ul. Wyspiańskiego, 1955 r.; archiwum rodzinne Pawła Michalaka

Moi teściowie wiedli skromne życie, pensje bowiem były niewysokie i mimo że oboje pracowali – Emil jako sędzia, Danuta jako urzędniczka w PIH-u – w domu się nie przelewało. Starali się jednak nadrobić straconą wojenną młodość. Na ulicy Stanisława Wyspiańskiego prowadzili dość ożywione życie towarzyskie. Przyjaźnili się z Mytnikami, Skalskimi, Lisikiewiczami, Zubkowskimi, Kaczmarkami – koszalińską in-

teligencją. Często grywali w brydża, spotykali się na imieninach, rodzinnych uroczystościach, chodzili na zabawy organizowane przez środowiska prawnicze, bankowe, lekarskie. Wakacje spędzali w Mielnie.

Dbali o wychowanie i wykształcenie dzieci. Najstarszy Tadeusz skończył Szkołę Oficerską w Krakowie, później pedagogikę w Toruniu. Był pierwszym dyrektorem Szkoły Podstawowej nr 18. Halina (moja żona), absolwentka polonistyki Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu, całe swoje życie zawodowe związała z I LO im. Stanisława Dubois, wychowała wielu przyszłych prawników, lekarzy, nauczycieli, artystów – jednym słowem absolwentów najlepszego ogólniaka w regionie. Stefan ukończył fizykę na Uniwersytecie im. Mikołaja Kopernika w Toruniu. Zawodowo związał z koszalińską oświatą – pracował jako nauczyciel w I LO, wicekurator, dziś jest dyrektorem Centrum Edukacji Nauczycieli, radnym sześciu kadencji, dwukrotnie pełnił funkcję przewodniczącego Rady Miejskiej.

Emil Turowski był dumny z dzieci i ich pozycji, ale ubolewał, że żadne z nich nie poszło w jego ślady. Na początku lat sześćdziesią-

Halina i Stefan Turowscy z kolegą Adamem przed domem przy ul. Wyspiańskiego, 1957 r.; archiwum rodzinne Pawła Michalaka

tych odszedł z sądownictwa do adwokatury. Ten zawód dawał w PRL-u szanse na większe zarobki, ale przede wszystkim poczucie niejakiej wolności. Nie bez powodu nazywano adwokatów ludźmi wolnego zawodu. Ucieszyłby się, wiedząc, że jego wnuczka Justyna będzie studiowała prawo na Uniwersytecie Warszawskim, a indeks dziadka z Uniwersytetu im. Jana Kazimierza stanie się jej talizmanem.

Po latach okupacji, zmarnowanych szans na szczęśliwe dzieciństwo i młodość, po utracie wszystkiego – rodzin, domów, dobytku – rodziny Michalaków i Turowskich budowały od nowa swoje życie w Koszalinie. Ich historie jak w soczewce skupiają losy wielu koszalinian.

Stefan Turowski w Przedszkolu Wojskowym przy ul. Armii Czerwonej, 1958 r.; archiwum rodzinne Pawła Michalaka

Wracając do historii najnowszej naszego miasta, nie sposób nie wspomnieć o roli Kościoła katolickiego w budowaniu naszej tożsamości. Posługę duszpasterską rozpoczęli tu franciszkanie, ale przełom stanowiło powstanie diecezji koszalińsko-

-kołobrzeskiej w 1972 roku z ordynariuszem ks. bp. Ignacym Jeżem. Jego wyjątkowa osobowość i przeszłość więźnia obozu koncentracyjnego w Dachau przydawała mu walor niekwestionowanego autorytetu moralnego. Kościół w okresie PRL-u był jednym z głównych podmiotów budowania naszej tożsamości na tych terenach. Powstanie seminarium duchownego (1982 rok) czy wizyta Ojca Świętego Jana Pawła II w 1991 roku, wreszcie kult maryjny w Skrzatuszu i na Górze Chełmskiej umacniały duchowość lokalnego Kościoła. Podkreśleniem roli kapłanów jest decyzja samorządu o nadaniu bp. Ignacemu Jeżowi i papieżowi Janowi Pawłowi II tytułów Honorowych Obywateli Miasta Koszalina.

Koszalin miał szczęście do dobrych włodarzy. Przebudowa infrastruktury miasta i budowa przemysłu w latach sześćdziesiątych pozwoliła na jego dynamiczny rozwój. W 1968 roku zainaugurowała działalność Wyższa Szkoła Inżynierska, dając nowy impuls do wzrostu. Rozbudowa przemysłu budowała więzi ekonomiczne i organizowała społeczność w zakładach pracy. Dało to siłę społeczną na zakręcie historii, jakim stał się rok 1980, kiedy pracownicy upomnieli się o swoje prawa, te ekonomiczne, ale też polityczne.

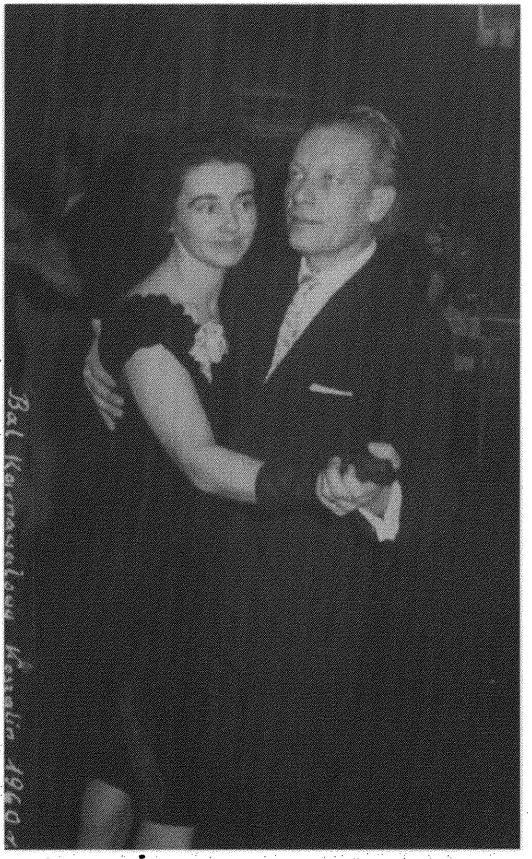

Emil i Danuta Turowscy na balu karnawałowym, Koszalin, 1960 r.;
archiwum rodzinne Pawła Michalaka

W sierpniu 1980 roku komitety strajkowe powstały w większości koszalińskich zakładów. Sam sprawowałem funkcję sekretarza Komitetu Robotniczego w Unimie (Zakłady Maszyn i Urządzeń Technologicznych Unitra-Unima). Najważniejszą sprawą była więź z Komitetem Strajkowym w Gdańsku. W czerwcu 1981 roku zostałem wybrany na przewodniczącego Zarządu Regionu „Pobrzeże" NSZZ „Solidarność" – to pierwsze demokratyczne wybory w PRL-u.

Okres szesnastu miesięcy zrywu wolnościowego wykorzystaliśmy na budowanie kapitału społecznego, wizji wolnej Polski, skonkretyzowanej na I zjeździe „Solidarności" w hali „Oliwii", w którym uczestniczyłem jako delegat regionu,

Anna Turowska, Przedszkole Wojskowe przy ul. Armii Czerwonej, lata 60. XX w.; archiwum rodzinne Pawła Michalaka

w programie Samorządowa Rzeczpospolita. Program zmaterializował się na początku lat dziewięćdziesiątych i przynosi efekty do dziś, mimo narastających patologii w samorządzie wynikających z bezprzykładnego upolitycznienia tych struktur.

My, Polacy, mamy specyficzną wrażliwość na wolność. Pogodziliśmy się z utratą dwóch wielkich miast symbolizujących Polskę – Lwowa i Wilna, ale zabraliśmy ich cząstkę – pomniki Jana III Sobieskiego do Gdańska, Aleksandra Fredry do Wrocławia, Kornela Ujejskiego do Szczecina.

W naszym polskim Koszalinie postawiliśmy marszałkowi Józefowi Piłsudskiemu pomnik, symbolizujący odzyskanie niepodległości i ciągłość naszych dziejów z II Rzeczypospolitą. Jest to jeden z wielu znaków pamięci w Koszalinie, które budują naszą tożsamość. Słowa umieszczone u podstawy cokołu z wiersza Juliusza Słowackiego winny nas skłonić do optymistycznej refleksji: „Ziarnem Polski być jeden prosty człowiek może, jak w ziarnku żyta – żyje całe przyszłe zboże".

Jestem przedstawicielem tak zwanych powojennych dzieci wyżu demograficznego, urodzonych w Koszalinie, który dla nas stanowi małą ojczyznę. O rodzinnych stronach rodziców słuchaliśmy ich nostalgicznych opowieści, ale nasze miejsce jest tu. Dziś mamy pięćdziesiąt, sześćdziesiąt lat, dochowaliśmy się w naszej licznej rodzinie (rodzeństwo i bliskie kuzynostwo) dziewiętnaściorga dzieci – dwudziesto- i trzydziestolatków. Tylko troje z nich mieszka w Koszalinie, reszta wyjechała. Ze smutkiem obserwujemy ten *exodus*, bo z myślą o dzieciach właśnie budowaliśmy domy, liczyliśmy na obecność wnuków w naszym życiu. Rodzicom Koszalin dawał nadzieję na stabilizację i dobrą przyszłość, ale niektóre nasze dzieci i wnuki gdzie indziej będą szukały swojej małej ojczyzny.

Sławomir Michalik

Życiorys z handlową żyłką

Po wywłaszczeniu z rodzinnego majątku w dawnym województwie warszawskim, po różnych zawirowaniach losu znalazłem się z rodzicami i starszym bratem w 1950 roku w Koszalinie. Śródmieście było zrujnowane, zwłaszcza wokół rynku, wszędzie leżały gruzy. Nie zdawałem sobie wówczas sprawy z faktu, iż to zaledwie pięć lat minęło od działań wojennych, wszakże pięć lat to dużo dla siedmioletniego chłopca.

Jako uczeń Szkoły Podstawowej nr 1 urywałem się w czasie przerw z kolegami na buszowanie po ruinach położonego prawie naprzeciwko jakiegoś urzędowego budynku z czerwonej cegły. Z rozbitych kas pancernych wybieraliśmy znaczki pocztowe prawie wyłącznie z wizerunkiem Adolfa Hitlera.

Tak się złożyło w moim życiu, iż swoimi miejscami zamieszkania obszedłem Koszalin wkoło, zanim wybudowałem dom, w którym mieszkam

ROK URODZENIA: 1943

MIEJSCE URODZENIA: Józefina, pow. garwoliński

DROGA DO KOSZALINA: majątek Józefina, Warszawa, Krosino, pow. szczecinecki

OD KIEDY W KOSZALINIE: 1950 r.

ZAWÓD (WYUCZONY, WYKONYWANY): inż. rolnik, menager

IMIONA I NAZWISKA RODZICÓW: Józef Michalik ∞ Zuzanna z d. Szyperska

MIEJSCA URODZENIA RODZICÓW: Józefina ∞ Wiązowna

ZAWODY RODZICÓW: agronom ∞ pielęgniarka

IMIONA I NAZWISKA DZIADKÓW: Karol Michalik ∞ Maria z d. Włodek || Michał Szyperski ∞ Antonina z d. Kos

ZAWODY DZIADKÓW: agronom, leśniczy ∞ ziemianka || rolnicy

od dwudziestu czterech lat. Pierwszym naszym mieszkaniem, które załatwił mój ojciec, był parter domku przy ulicy Armii Czerwonej 69 (obecnie Józefa Piłsudskiego) z rozległym ogrodem. Tam – mimo licznych niedostatków i nękającej mnie astmy oskrzelowej – spędziłem szczęśliwe lata dzieciństwa i wczesnej młodości.

Moi troskliwi i pracowici rodzice, doświadczeni przeżyciami wojennymi, dla poprawy naszej doli zorganizowali przydomowy chów kozy i świni. A zatem mieliśmy co dzień niezbyt ładnie pachnące, ale zdrowe mleko i od czasu do czasu własnego wyrobu kiełbasy, salcesony i kaszanki. W wykonywaniu tych jakże wyśmienitych produktów, których smak pamiętam do dzisiaj, pomagał nam sąsiad z ulicy Romualda Traugutta – zawodowy rzeźnik pan Szyling.

Dziś domek będący naszą pierwszą przystanią w Koszali-

Jubileusz 30-lecia chóru Złote Kłosy, autor – trzeci od prawej strony, 1985 r.; archiwum rodzinne Sławomira Michalika

nie jest wciśnięty pomiędzy pizzerię „Tre Pomodori" a piekarnię Jerzego Krakowiaka, która swymi zabudowaniami wypełnia przyległy do domu ogród.

Lata szkoły średniej to również zawsze ciekawe wakacje – miesiąc pracy i miesiąc modnego wówczas autostopu. Przez trzy kolejne lata (1959–1961) w lipcu pracowałem z archeologami, początkowo z dyrektorem muzeum Marianem Sikorą, później dr. Franciszkiem Janochą i Henrykiem Lachowiczem. Działaliśmy na Górze Chełmskiej, odkrywając średniowieczne cmentarzysko pielgrzymów, którzy najprawdopodobniej przybyli do znajdującego się tam sanktuarium, otrzymawszy taką właśnie pokutę za ciężkie grzechy. Nie było dane im wrócić, tam złożyli swoje kości. Grobów tych odkrywaliśmy bardzo wiele.

Oczywiście ja pracowałem jako robotnik z łopatą. Dopiero po mnie do pracy przystępowali studenci archeologii i praktykanci z miotełkami i szpachelkami, odsłaniając zarysy tru-

Autor z żoną, siostrą i szwagrem oraz dziećmi w Kołobrzegu, 1990 r.; archiwum rodzinne Sławomira Michalika

mien, potężne, kute obrosłe w rdzę gwoździe, fragmenty ozdób, nieraz monety i inne przedmioty. Do pracy dojeżdżaliśmy na wypożyczonych przez muzeum rowerach z doczepianymi silniczkami. Do dzisiaj, kiedy jestem na Górze Chełmskiej, stają mi przed oczami wspomnienia i obrazy z tamtych lat.

Tak się złożyło, iż razem ze starszym bratem, a później młodszą siostrą ukończyliśmy Technikum Ekonomiczne, a dopiero potem studia zaoczne, które przyniosły stopniowe awanse na urzędniczych stanowiskach. Trafiłem do wiele znaczącego w PRL-owskim systemie handlu Wojewódzkiego Związku Gminnych Spółdzielni „Samopomoc Chłopska" na ulicy Stanisława Moniuszki 15, gdzie przepracowałem dwadzieścia cztery lata, awansując od referenta do dyrektora handlowego.

Dom rodzinny autora przy ul. Moniuszki 20 (po lewej stronie) i obok nowo wybudowany przez autora dom w ogródku mamy, 1992 r.; archiwum rodzinne Sławomira Michalika

W tym zakładzie pracy – jak na owe lata świetnie zorganizowanym – działał zespół chóralny Złote Kłosy, który stanowił oczko w głowie prezesa WZGS Bolesława Bielankiewicza. Po zatrudnieniu się w tej instytucji w 1967 roku niezwłocznie zostałem przesłuchany i zaproszony do udziału w zespole w charakterze tenora. To piękne lata, a trwały długo, bo przez cały okres zatrudnienia. Kierownikami artystycznymi chóru byli znani koszalińscy animatorzy kultury – dyrygenci Jan Kowalczyk i Fred Wojtan oraz akompaniator i solista Wacław Kubicki. Repertuar chóru prezentował „dla każdego coś miłego", a więc od melodii ludowych do operetkowych. Chór obsługiwał walne zgromadzenia we wszystkich gminnych spółdzielniach całego województwa, a także inne imprezy, jubileusze i akademie. Mieliśmy ciekawe wyjazdy do Czechosłowacji, na Węgry i do Niemieckiej Republiki Demokratycznej.

W tym czasie mieszkaliśmy już na ulicy Sanatoryjnej 7, gdzie mój brat założył małą hodowlę norek, wspomagając w istotny sposób nasz domowy budżet. Przez następne lata cała rodzina – niezależnie od pracy zawodowej i kontynuowanych studiów – zajmowała się hodowlą zwierzątek futerkowych. Zagroda z klatkami znajdowała się na dziewiczym polu przyległym do naszego domu przy ulicy Sanatoryjnej, tam gdzie stoi dziś willa słynnego koszalińskiego rzeźbiarza Zygmunta Wujka, a więc w pobliżu dzisiejszych zabudowań hospicjum.

Pieniądze uzyskane ze sprzedaży skórek przeznaczone zostały na zakup pierwszego własnego domku przy ulicy Stanisława Moniuszki 20, który służył moim rodzicom praktycznie do końca życia. Ja również mieszkałem tam przez osiem lat – dopóki się nie ożeniłem. Było to wygodne, ponieważ do pracy na ulicy Stanisława Moniuszki 15 miałem trzy minuty.

Po zawarciu związku małżeńskiego w 1973 roku mieszkałem kolejno przy ulicy Bałtyckiej w małym mieszkanku, po latach w nieco większym przy ulicy Władysława Kniewskiego (teraz Melchiora Wańkowicza), aż wreszcie w ładnym czteropokojowym mieszkaniu w nowych blokach przy ulicy Juliana Fałata 17, gdzie na świat przyszedł długo oczekiwany syn.

Zważywszy na to, iż moja wcześniejsza latorośl liczyła już jedenaście lat, a żona ukończyła czterdzieści, była to sytuacja tyleż ekscytująca, co niepewna, a nawet niebezpieczna. Poród odbył się w sposób tradycyjny, lecz z wielkimi trudnościa-

mi oraz wklęśnięciem (minimalnym) twarzoczaszki noworodka. Mankament ten – ku radości siostry i rodziców – ustąpił całkowicie. Dzisiaj możemy być dumni ze wspaniałego młodego mężczyzny mierzącego ponad sto dziewięćdziesiąt centymetrów wzrostu, który chętnie zdobywał wykształcenie, ciężko pracuje oraz wielokrotnie potwierdzał swoje przywiązanie do siostry i rodziców.

W tym czasie nastąpiła mała stabilizacja w moim życiu. Żona, będąc inżynierem instalacji sanitarnych, nieźle zarabiała w biurze projektów. Ja awansowałem najpierw na kierownika działu, a później na dyrektora handlowego. Dodatkowo – w ramach plantacji zblokowanych – skorzystałem z oferty spółdzielni ogrodniczej, zakładając dwudziestopięcioarową plantację malin. Uprawa ta – prowadzona systemem szpalerowym – już w trzecim roku po po-

Autor na tle hali, którą spółka Plastic-Pol przystosowała do potrzeb hurtowni, ul. Różana, 1998 r.; archiwum rodzinne Sławomira Michalika

sadzeniu dała dwie i pół tony owoców. W tamtych latach nie mieliśmy problemów ze zbytem ani ze znalezieniem ludzi do zbioru. Jak na tamte czasy niezły status materialny zrodził myśl o budowie domu, który najprościej było zaplanować na działce odpisanej mi przez mamę obok rodzinnego budynku przy ulicy Stanisława Moniuszki 20.

Rozpoczęcie budowy domu zbiegło się z początkiem transformacji. Znamienne lata 1988 i 1989 przyniosły – obok przełomowych zmian politycznych – lawinowy wzrost cen i oprocentowania kredytów, jak również upadek wielu zakładów pracy. Spowodowało to olbrzymie braki w zaopatrzeniu we wszelkiego rodzaju wyroby, a w tym i w materiały budowlane, o które trzeba było walczyć. Jednocześnie ukazała się ustawa o likwidacji zjednoczeń, a co za tym idzie – rozwiązano Wojewódzki Związek Gminnych Spółdzielni „Samopomoc Chłopska".

Po dwudziestu czterech latach w potężnej organizacji spółdzielczej traciłem pracę. Jednak się nie poddałem. Z kolegą – radcą prawnym – na części majątku WZGS założyłem Spółdzielnię Pracy „Tem". Rychło jednak okazało się, że jako prezes tej spółdzielni nie mam widoków na długie istnienie i przyzwoite zarobki, które pozwoliłyby mi spłacać rosnący kredyt i kontynuować budowę domu. Widmo totalnego bankructwa zaglądało mi w oczy. Szczęśliwie, będąc w 1990 roku na targach Polagra, poznałem amerykańskiego wystawcę polskiego pochodzenia, producenta opakowań do ciast i sałatek, w Polsce dotąd nieznanych.

Rudolf Orkisz, bo tak nazywał się ów milioner z USA, z tysiąca zebranych wizytówek wybrał dwie – to jest kolegi z południa Polski i moją. Po wielu rozmowach i spotkaniach w 1991 roku ustanowił dwa ośrodki dystrybucyjne opakowań typu „sure lock" firmy Inline Plastics Corp. – jeden w Bielsku-Białej, a drugi w Koszalinie.

W tym czasie przekazałem swojemu następcy Spółdzielnię Pracy „Tem" i założyłem z dwoma kolegami firmę Plastic-Pol Sp. z o.o., która z zapałem zabrała się do dystrybucji przysłanego (na zaufanie – bez zapłaty) pierwszego kontenera opakowań.

Szybka sprzedaż tych przezroczystych dzisiaj bardzo popularnych pudełek – wówczas nieznanych na naszym rynku – pozwoliła na zapłatę dostawcy i złożenie kolejnego zamówienia. Nasi pierwsi odbiorcy to Zakłady Cukiernicze „22 Lip-

ca E. Wedel" w Warszawie oraz Zakłady Cukiernicze „Gryf" w Szczecinie. Potem zaopatrywaliśmy także zakłady „Bałtyk" w Gdańsku i kilka spółdzielni cukierniczych.

Szybkiej sprzedaży sprzyjała kompletna pustka na rynku opakowań w tych latach w Polsce. Pomogło to spółce Plastic-Pol w krótkim czasie zrealizować wysokie marże, a co za tym idzie – szybko wygenerować kapitał na inwestycje i dalszy obrót.

Zakupiliśmy od syndyka masy upadłościowej firmy Kazel połowę potężnej, trzykondygnacyjnej hali przy ulicy Różanej 7, którą przez piętnaście lat dzieliliśmy z fabryką okien PUF. Prowadziliśmy stamtąd jako hurtownia patronacka Orlenu zaopatrzenie producentów folii i opakowań do chemii gospodarczej i żywności w surowce do produkcji, to jest granulaty polietylenu i polipropylenu. Moi wspólnicy i ja doczekaliśmy w ten sposób do emerytury i zakończyliśmy działalność spółki Plastic-Pol, odsprzedając sąsiadowi, czyli wspomnianej firmie PUF, naszą połowę hali wraz z przyległą działką.

Wieczór opłatkowy w Naczelnej Radzie Zrzeszeń Handlu i Usług w Warszawie z udziałem kard. Józefa Glempa, autor – drugi od prawej strony, 2006 r.; archiwum rodzinne Sławomira Michalika

W tym miejscu wypada wspomnieć, iż na terenach

przylegających do ulic Różanej i Lnianej w PRL-u znajdowały się dwa największe zakłady produkcyjne Koszalina, to jest Płytolen – producent płyt paździerzowych między innymi dla przemysłu meblowego, oraz Kazel. Ten drugi to największy producent osprzętu elektronicznego w Polsce. Obydwa te molochy zatrudniające kilka tysięcy ludzi nie wytrzymały konkurencji z nowymi technologiami płynącymi z Zachodu oraz Dalekiego Wschodu i musiały ogłosić upadłość.

Początkowo na bez mała stuhektarowej powierzchni zabudowanej specjalistycznymi obiektami zapanował nastrój grozy, niczym w wymarłym mieście. Stopniowo jednak – dzięki sprawnej pracy syndyków masy upadłościowej, takich jak pan Kozłowski, których pracę nadzorowali sędziowie – Anna Majewska-Jurys oraz Ryszark Wełniak – ten obszar został ponownie zagospodarowany. Moja spółka Plastic-Pol, firmy PUF, Wrotniewscy, Energobud, Opel Dowbusz i wiele innych – w sumie ponad sto podmiotów – wkrótce przystąpiły do remontów oraz modernizacji zakupionych obiektów i tchnęły nowe życie w te – zdawałoby się już utracone i nieproduktywne – tereny.

Jeśli chodzi o moją pracę społeczną, zaczęła się ona w 1995 roku wyborem na członka Zarządu Zrzeszenia Kupców i Przedsiębiorców w Koszalinie. Następnie po kilku latach zostałem wiceprezesem Zarządu, a w roku 2003 jego prezesem oraz członkiem Zarządu Naczelnej Rady Zrzeszeń Handlu i Usług w Warszawie. Moja praca dla społeczeństwa została doceniona i wysoko uhonorowana, bowiem w 2005 roku, na osiemdziesięciolecie powołania Naczelnej Rady Zrzeszeń Handlu i Usług, zostałem odznaczony przez prezydenta Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski. Dziś nadal pracuję społecznie i trochę zawodowo, prowadząc z żoną minihurtownię opakowań. Cieszę się trojgiem wnucząt i w miarę możliwości oddaję się swojej pasji podróżowania.

Kazimierz Nagórka

Morze, drzewo, dzieciństwo...

Jazda do Mielna

Oddalony o dwanaście kilometrów od morza Koszalin opala się na plaży w Mielnie. Wsiadam dziś w samochód i piękną drogą w dwadzieścia minut jestem na miejscu. Pensjonaty, kawiarnie, restauracje, plażowicze, nowe umocnienia, ścieżki rowerowe, ciągi piesze, trawniki, bruk. Wszystko nowe, kolorowe, nowoczesne. Tylko morze jest takie jak wtedy, kiedy jazda do Mielna w latach 1948–1950, którą ja pamiętam, nie była taką prostą sprawą.

Po pierwsze autobus. Doczekać się go i wsiąść. Jedziemy. Mam pięć lat i czekam bardzo niecierpliwie, żeby z impetem rzucić się do wody. Ale na końcu ulicy Morskiej – w miejscu, w którym kończyła się nawierzchnia z kostki kamiennej, a zaczynały płyty betonowe, stał szlaban i budka wartownicza – autobus musi się zatrzymać.

ROK URODZENIA: 1945

MIEJSCE URODZENIA: Lubotyń k. Ostrowi Mazowieckiej

DROGA DO KOSZALINA: Gliwice

OD KIEDY W KOSZALINIE: grudzień 1946 r.

ZAWÓD (WYUCZONY, WYKONYWANY): inż. mechanik

IMIONA I NAZWISKA RODZICÓW: Stanisław Nagórka ∞ Maria z d. Jasionowska

MIEJSCA URODZENIA RODZICÓW: oboje Lubotyń

ZAWODY RODZICÓW: krawiec ∞ krawcowa

IMIONA I NAZWISKA DZIADKÓW: Franciszek ∞ Eleonora Nagórkowie || Adam ∞ Aleksandra Jasionowscy

ZAWODY DZIADKÓW: rolnicy

Przez przednie drzwi wsiada żołnierz Wojsk Ochrony Pogranicza (WOP), tylnymi – drugi. Mężczyźni niespiesznie kontrolują dokumenty i bagaże, często nieduże walizki lub płócienne siatki, oczywiście nie było – takich jak dziś – toreb plażowych. Z trudem wyczekuję, aż skończą. Rozgrzany słońcem autobus wreszcie rusza. Jedziemy dalej.

Za szlabanem po lewej stronie mijamy lotnisko. Jego zielona płaszczyzna sięgała ściany lasu, który miał swój początek jeszcze przed pierwszym zakrętem szosy w lewo. Zapewne z powodu lotniska i jednostki wojskowej w tym miejscu zaczynała się kontrola, ale przecież była to też strefa nadgraniczna. Tak myślę dziś – a wtedy jedynie: „Mamo, kiedy wreszcie będzie ta plaża?".

Od lewej: mama autora Maria Nagórka, autor i jego siostra Elżbieta na plaży w Mielnie, początek lat 50.; archiwum rodzinne Kazimierza Nagórki

Nareszcie przystanek końcowy. Pętla przed restauracją „Fala", a za nią znowu szlaban. Wysiadanie jednymi drzwiami (otwarte są

tylko przednie) ciągnie się niemiłosiernie. Jeszcze tylko żołnierze WOP-u – kolejna kontrola. Na szczęście tylko dokumentów.

Został jeden szlaban, kilkaset metrów i plaża. Nareszcie wyczekane fale!

Takie same są dziś.

Tylko one.

Ulica Wąska

Kiedy idziemy dzisiaj w kierunku katedry prawą stroną ulicy Zwycięstwa od jej skrzyżowania z ulicą Kaszubską, a po przejściu kilkudziesięciu kroków odwrócimy głowę w lewo, to sponad dachów pawilonów stojących po drugiej stronie ulicy zobaczymy w górze koronę stojącego samotnie wysmukłego drzewa. To grusza przywołująca świat ulicy Wąskiej z mojego dzieciństwa i świadcząca o jej istnieniu w przeszłości.

Gdyby chcieć dzisiaj odtworzyć przebieg tej ulicy, należałoby narysować kreskę równoległą do ulicy Jana z Kolna w odległości około trzydziestu metrów od jej skrzyżowania z ulicą Zwycięstwa. Ta linia przeszłaby przez teren browaru i wyszła na ulicę Spółdzielczą w okolicy ówczesnego głównego wjazdu do browaru, gdzieś przy budynku numer 6. Grusza rosła w odległości około sześciu metrów od krawędzi ulicy Wąskiej, na górnym tarasie podwórka kamienicy numer 6 na ulicy Jana z Kolna i dziś od tego budynku można do niej dojść.

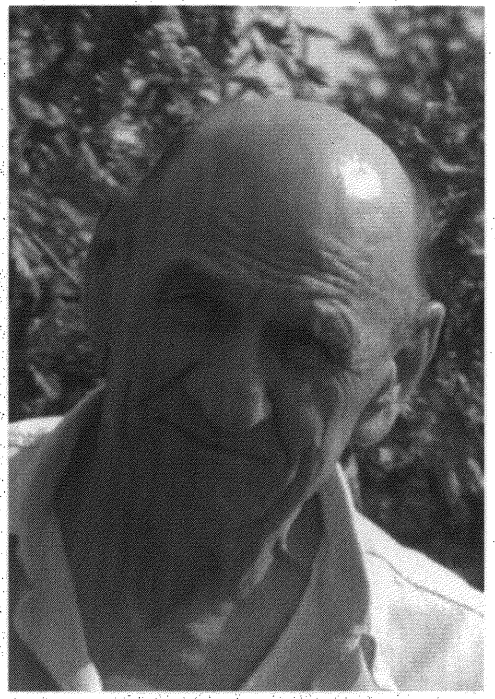

Autor; archiwum rodzinne Kazimierza Nagórki

Ulica Wąska miała około czterech metrów szerokości, w początkowym swoim biegu dość stroma z brukowaną nawierzchnią. Dalej stawała się drogą gruntową, dochodzącą do kończącej ją bramy wjazdowej na teren browaru.

Na tę ulicę wjeżdżało się od Zwycięstwa między bocznymi ścianami trzykondygnacyjnych kamienic z witrynami sklepowymi numer 17 i 19 (w tej mieszkam). Dzisiejsze pawilony powstały w miejsce nieistniejących już tych budynków.

W dolnym biegu ulicy Wąskiej – tym zabrukowanym – przylegały do niej ogrodzone murami z cegły podwórka wspomnianych kamienic. W górnej części, gdzie ulica stawała się mniej stroma, rozszerzała się o otwarte przed nią, przylegające do niej z lewej strony górne tarasy podwórek narożnych kamienic numer 4 i 6 z ulicy Jana z Kolna.

Na tej wysokości – po prawej stronie – stał budynek dwukondygnacyjny, który odgradzał podwórko kamienicy numer 19 z ulicy Zwycięstwa od przylegającego do niego ogrodu. Ukształtowanie terenu powodowało, że z tej perspektywy podwórko było położone niżej, a ogród znajdował się wyżej. Dlatego też wejście na drugą kondygnację tego budynku biegło po schodkach właśnie od ulicy Wąskiej.

Grusza na ul. Wąskiej, 2015 r.; fot. Edward Grzegorz Funke

Podobnie kamienica numer 19. Od ulicy Zwycięstwa pierwsza kondygnacja mieszkalna znajdowała się na pierwszym piętrze (nad sklepami), natomiast od podwórka – na parterze. Wspomniany ogród od ulicy Wąskiej był ogrodzony częściowo drewnianym płotem z desek, a częściowo siatką stalową. „Formalnie" można było do niego wejść, idąc schodami do góry od podwórka kamienicy numer 21 z ulicy Zwycięstwa. Natomiast „nieformalnie" – dziurą powstałą w wyniku ubytku kilku desek.

Ulica Wąska służyła do obsługi przylegających do niej budynków (a tu podwórka, oficyny, przydomowe ogródki). Przecież w oficynie kamienicy numer 17 mieściła się piekarnia Stanisława Klimczyka. Z kolei w oficynie domu numer 19 znajdował się zakład ślusarski i warsztat elektrotechniczny, a w podwórku także stajnia dla dwóch koni. Słowem – ulicą Wąską dostarczano potrzebne materiały, dowożono opał i wywożono śmieci. Niewykluczone też, że ulica służyła jako dojazd (albo wyjazd) awaryjny do browaru.

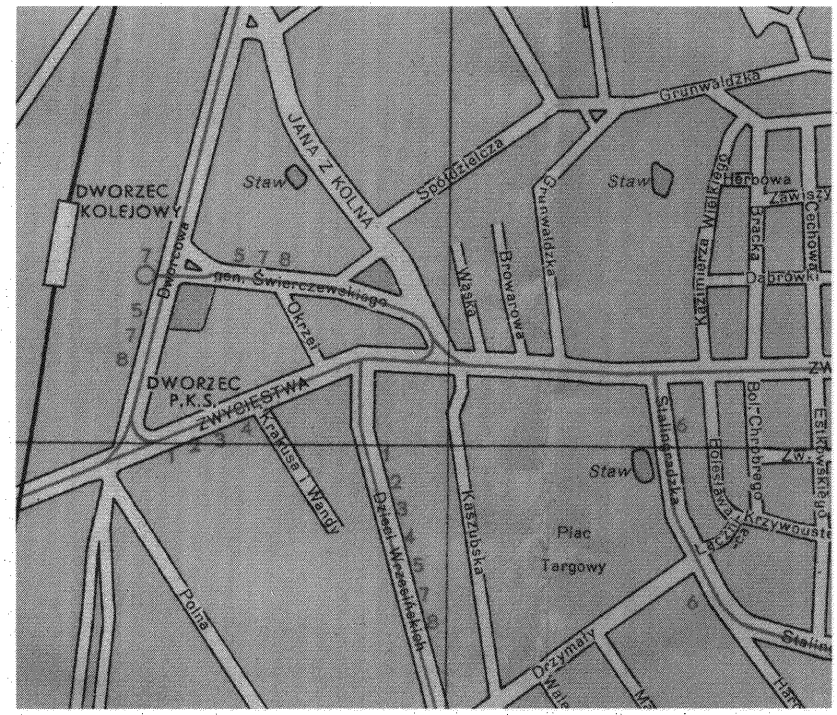

Fragment planu Koszalina z ul. Wąską; archiwum rodzinne Kazimierza Nagórki

Jednak dla nas – dzieci z tych okolicznych podwórek – nasza ukochana „górka" to plac zabaw, boisko do wszystkiego, nasz dziecięcy raj.

Szliśmy więc i spotykaliśmy się „na górce". Właśnie w tym miejscu, gdzie stoi ta grusza. Za schronienie w dni deszczowe służyły nam zrujnowane pomieszczenia znajdujące się na drugiej kondygnacji wspomnianego budynku, dopóki ktoś nie postanowił urządzić tam sklepu z butami.

Rodzicom mówiło się, że się idzie „na górkę" i wszystko było jasne.

Latem z „górki" zjeżdżało się na rowerku (wtedy mieliśmy jeden dla wszystkich, nazywał się „Bobo"), zimą zaś na sankach. Te zimowe zjazdy często kończyły się na jezdni ulicy Zwycięstwa. Było to o tyle możliwe, że wtedy nie jeździły po niej prawie żadne samochody, ale mimo wszystko to bardzo niebezpieczne. Z „górki" też się zbiegało – co często kończyło się mniej lub bardziej bolesnymi upadkami oraz bliznami, które pozostały do dzisiaj.

„Górka" nas łączyła, a czasami w złości rozłączała – jak to z chłopcami bywa, którzy wtedy nosili identycznego kształtu tornistry, jednak zdecydowanie różniące się kolorami: czerwone i zielone (ja taki miałem). Ci chłopcy – a dzisiaj panowie – to wszystko pamiętają.

Janina Pacholska

Koszalin – miasto inspirujące

Historia powstania Klubu Młodych

Kiedy w latach siedemdziesiątych przyjechałam do Koszalina – miasto oprócz pracy i atrakcyjnej lokalizacji (bliskość morza) nie miało w zasadzie niczego więcej do zaoferowania. Młodzi absolwenci uczelni wyższych pracowali w różnych zakładach w mieście, więc nie było szans na wzajemne kontakty towarzyskie. Aby to zmienić, w Koszalinie powstał Klub Młodych.

Pomysłodawczynią organizacji była młoda architekt-

ROK URODZENIA: 1948

MIEJSCE URODZENIA: Konstantynów n. Bugiem

DROGA DO KOSZALINA: Siedlce (matura), Lublin (początek studiów), Warszawa (koniec studiów + kierunek), Łomża

OD KIEDY W KOSZALINIE: 30 maja 1971 r., od 1 czerwca 1971 r. początek pracy zawodowej w Zakładzie Higieny Weterynaryjnej

ZAWÓD (WYUCZONY, WYKONYWANY): mgr farmacji, analityk; moja praca zawodowa: Kierownictwo Pracowni Toksykologicznej i Biochemicznej w ZHW – analityk, pozostałe prace – typowe dla mgr farmacji: kierownictwo Apteki Wojskowej, kierownictwo Hurtowni Farmaceutycznej „Cefarm" Gdańsk Filia w Sianowie oraz praca w aptekach w niepełnym wymiarze godzin, obecnie na emeryturze, nadal czynna zawodowo (nadzory farmaceutyczne)

IMIONA I NAZWISKA RODZICÓW: Kazimierz Wójcikowski ∞ Jadwiga z d. Górna

MIEJSCA URODZENIA RODZICÓW: Tchórzew ∞ Łopiennik Dolny

ZAWODY RODZICÓW: mgr farmacji ∞ nauczycielka

IMIONA I NAZWISKA DZIADKÓW: Oktawian Wójcikowski ∞ Maria z d. Bukowska || Józef Górny ∞ Cecylia z d. Holcer

ZAWODY DZIADKÓW: ziemianin ∞ żona „przy mężu" || nauczyciele, dziadek – długoletni kierownik szkoły ∞ babcia – odznaczona najwyższym odznaczeniem nauczycielskim w tamtym czasie: Zasłużony Nauczyciel Polski Ludowej

ka – Elżbieta Szalewska (dzisiaj ze stopniem doktora, mieszka w Słupsku), która na początku lata 1974 roku spotkała się z szefem Koszalińskiego Towarzystwa Społeczno-Kulturalnego (KTSK) Stefanem Napierałą w sprawie pomysłu „odmłodzenia" tej placówki przez objęcie patronatem klubu złożonego z napływowej młodzieży po studiach – Klubu Młodych właśnie.

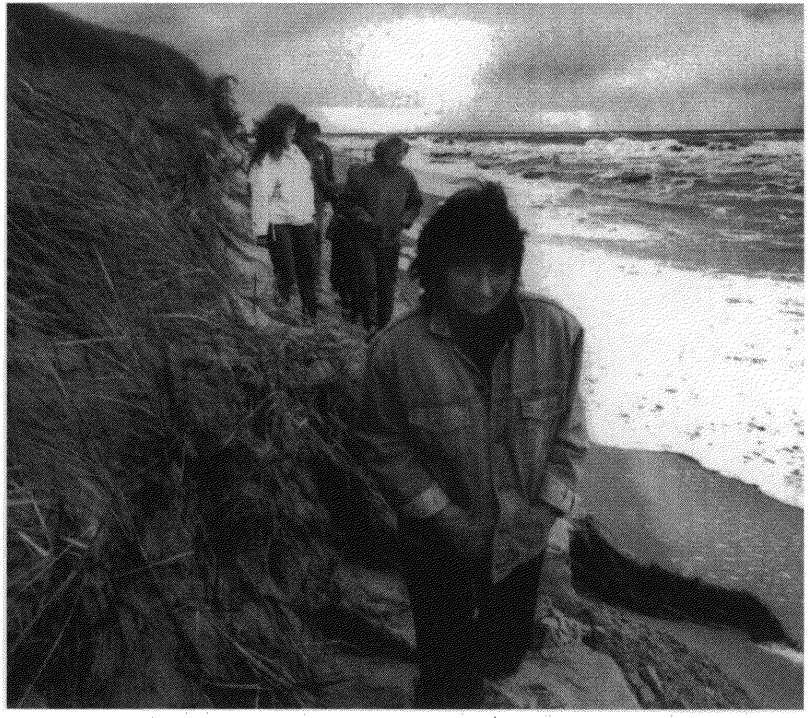

Wycieczka nad morze z Klubem Młodych, ok. 1975 r.; archiwum rodzinne Janiny Pacholskiej

Szef KTSK zapalił się do tego projektu, o ile udałoby się coś takiego zorganizować – wiedział, że Koszalin zaliczano wtedy do tak zwanej Polski B (co oznaczało małe pensje i brak mieszkań), więc absolwentów wyższych uczelni było wtedy w mieście stosunkowo mało i to porozrzucanych po różnych miejscach pracy.

Oczywiście w miejscowej gazecie – „Głosie Koszalińskim" – pojawiło się ogłoszenie o spotkaniu organizacyjnym, ale najskuteczniejsza okazała się – jak zwykle – poczta pantoflowa. Niebagatelną rolę odegrał tu Dom Asystenta przy ulicy Władysława Broniew-

skiego 4, w którym specjaliści ściągnięci do miasta dostali mieszkania zastępcze (gdzie zresztą latami oczekiwali na przydział własnego lokum).

Pamiętam, że na schodach tego budynku Elżbieta Szalewska zaprosiła mnie na pierwsze spotkanie tworzącego się klubu, chociaż wcześniej się nie znałyśmy. Ponieważ poszukiwano absolwentów wyższych uczelni, każdy zainteresowany członkostwem miał przyprowadzić znanych sobie mieszkańców zainteresowanych życiem kulturalnym. Na pierwszym spotkaniu każdy kandydat na członka organizacji przedstawiał się – mówił, którą uczelnię skończył, skąd przybył i co „może".

Tym sposobem w czasie zaledwie dwóch zebrań stało się coś wyjątkowego – powstało zrzeszenie skupiające niemal całą młodą koszalińską inteligencję. Szybko wyłoniła się pięcioosobowa czołówka, a w niej Irena Ciesielska, późniejsza kwestorka Politechniki Koszalińskiej, a obecnie przewodnicząca samorządu Uniwersytetu Trzeciego Wieku w Koszalinie.

Dzięki tej inicjatywie powstała silna grupa często spotykająca się na różnych imprezach kulturalnych, na przykład wernisażach, koncertach oraz na wspólnych wypadach za miasto. Klub wspaniale integrował to nowe środowisko. Dostarczył możliwości poznania wielu ciekawych ludzi i rozwoju kulturalnego. Organizacja spełniła swoje zadanie z nawiązką, kiedy niektórzy młodzi pozawierali między sobą związki małżeńskie, trwałe do dzisiaj. Klub Młodych przeszedł tym samym do historii.

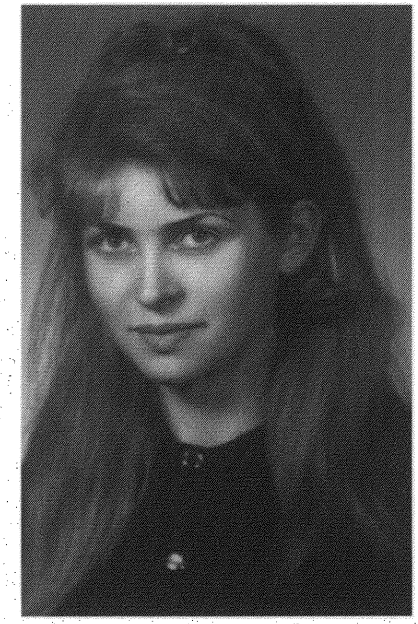

Autorka, 1971 r.; archiwum rodzinne Janiny Pacholskiej

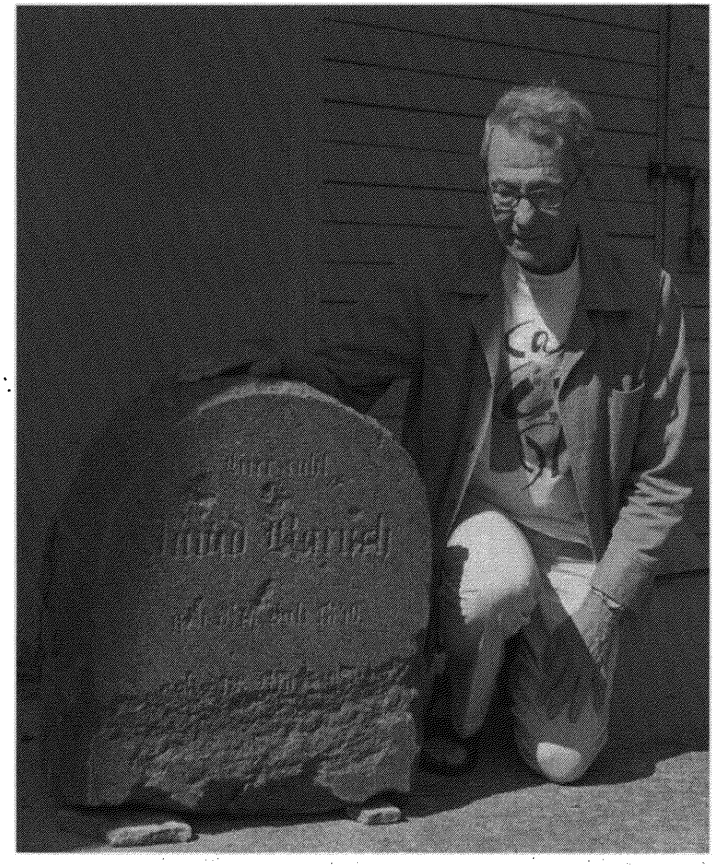

Wielki, skromny człowiek

Gdy uczestnicząc w 20. Międzynarodowym Bienale Sztuki w São Paulo w 1989 roku, mój mąż Zdzisław przyjął propozycję zorganizowania w Polsce wystawy o Annie Frank, nie przypuszczał, że dzięki temu pozna światowej sławy naukowca pochodzącego z Koszalina – Lesliego Barucha Brenta.

Przez pięć lat wystawa prezentowana przez mojego męża Zdzisława, jej kuratora, cieszyła się niesłabnącym powodzeniem w różnych polskich miastach, zwłaszcza wśród młodzieży, do której trafiła formuła wymyślona przez niego, by przeszkoleni uczniowie przybliżali rówieśnikom dzieje Anny Frank i jej rodziny, na tle martyrologii Żydów w obozach zagłady. W Koszalinie było podobnie. Wernisaż stał się prawdziwym wydarzeniem kulturalnym, a powstała wrzawa medialna ośmieliła na-

Leslie Baruch Brent przy macewie swojego ojca,
2005 r.; fot. Zdzisław Pacholski,
archiwum rodzinne Janiny Pacholskiej

Odsłonięcie obelisku ku pamięci Żydów pochowanych w Koszalinie, 2005 r.; fot. Zdzisław Pacholski, archiwum rodzinne Janiny Pacholskiej

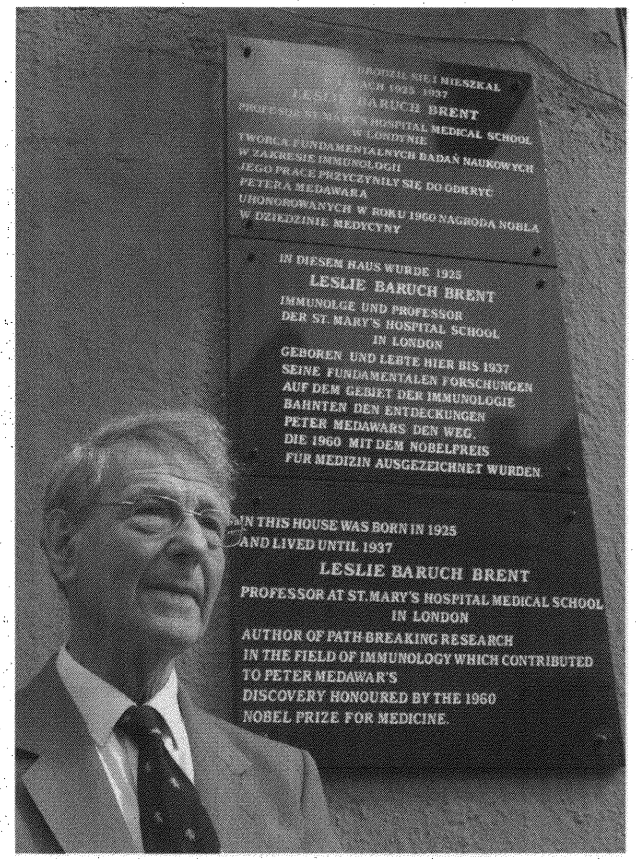

Leslie Baruch Brent przy rodzinnym domu, 2005 r.; fot. Zdzisław Pacholski, archiwum rodzinne Janiny Pacholskiej

szą sąsiadkę, Małgorzatę Michałek. Przekazała ona mężowi adres Żyda, który przed wojną mieszkał przy ulicy Dworcowej 4 (w lokalu po latach zajmowanym przez rodzinę Michałków). Nawiązała się korespondencja, w której toku mój mąż sukcesywnie zdobywał coraz więcej informacji o skromnym nieznajomym.

Profesor Leslie Baruch Brent to niemiecki Żyd, który dzięki *kindertransportom* jako jedyny z licznej rodziny uratował się od zagłady hitlerowskiej – trafił do Londynu. Tam wykorzystał szansę kształcenia i zajął się pracą badawczą. Razem z Peterem Medawarem i Rupertem Billinghamem odkrył tak zwany fenomen tolerancji. Zjawisko to jest podstawą dzisiejszej transplantologii, a ich odkrycie zostało uhonorowane Nagrodą Nobla w 1960 roku.

Odkrytymi rewelacjami mąż podzielił się z ówczesnym prezydentem Koszalina, Mirosławem Mikietyńskim, który w 2005 roku zaprosił naukowca wraz z małżonką na tygodniowy pobyt do Koszalina. Był to nieprzerwany festiwal na cześć dostojnych gości, z seminarium naukowym z wykładami noblisty i trzech wybitnych profesorów polskich, koncertem symfonicznym dedykowanym uczonemu, ze spotkaniem profesora z koszalinianami w Domku Kata i tym podobnymi. Trwałą pozostałością po tej wizycie dla miasta są tablice wmurowane w ścianę rodzinnego domu profesora przy ulicy Dworcowej 4, osobiście przez niego odsłonięte, informujące w trzech językach o jego największym osiągnięciu, oraz przywrócone do godności miejsce dawnego cmentarza żydowskiego przy ulicy Rzecznej, mieszczące głaz-pomnik z informacją w języku polskim i hebrajskim odnośnie tego terenu, a także kamień nagrobny dziadka profesora – jedyną macewę zachowaną z dwóch przedwojennych cmentarzy żydowskich. Dla naukowca – otrzymane z Archiwum Państwowego dokumenty związane z unicestwioną w pogromie rodziną, z najcenniejszą pamiątką: metryką podpisaną przez jego ojca.

Dziś dziewięćdziesięcioletni profesor Leslie Baruch Brent, nadal czynny naukowo i politycznie, jest ambasadorem Koszalina w świecie, a nasze rodziny połączyła prawdziwa przyjaźń.

Koszaliński akcent na EMoP 2014

W 2014 roku – jubileuszowym (dziesiątym!) – istnienia Europejskiego Miesiąca Fotografii (European Month of Photography – EMoP) szczególnie uroczyste obchody miały miejsce w Lublanie – stolicy Słowenii. Kuratorem Festiwalu został Aleksander Bassin, a temat wiodący brzmiał: „Fotografia w przestrzeni publicznej". O randze prezentowanych ekspozycji świadczy udział ikony światowej fotografii, członka agencji fotograficznej „Magnum" – Josefa Kouldelki.

W dniach 6–30 czerwca 2014 roku Zdzisław Pachol-

Wernisaż wystawy „Rekwizyty atrybuty" Zdzisława Pacholskiego w SVC-Gallery w Lublanie, 2015 r.; fot. Zdzisław Pacholski, archiwum rodzinne Janiny Pacholskiej

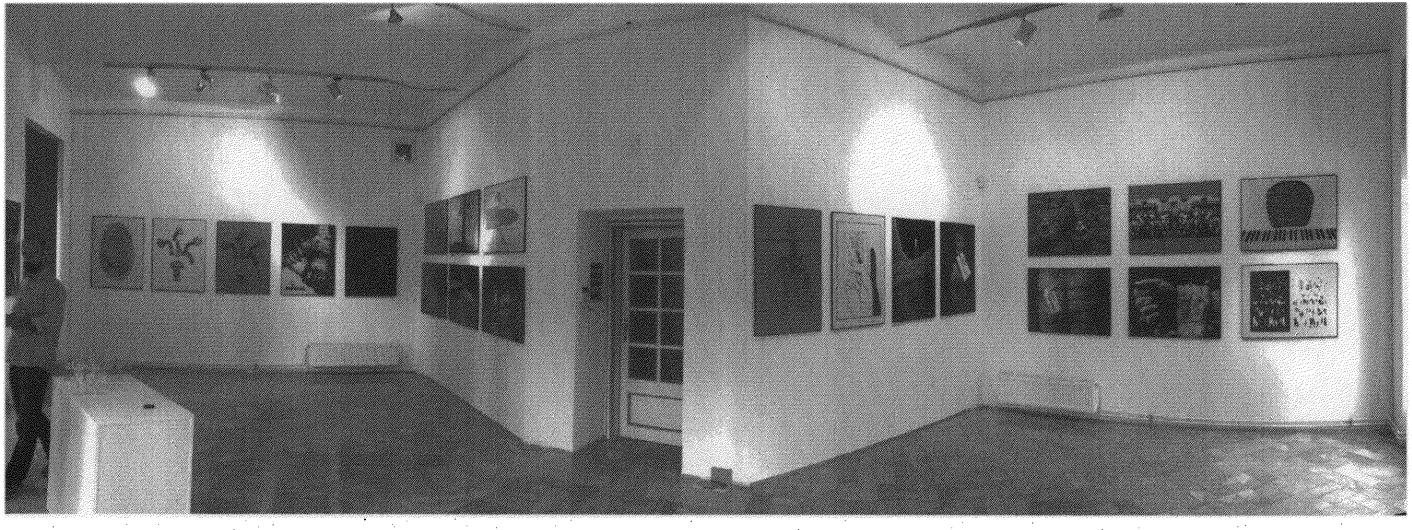

Aranżacja wystawy „Rekwizyty atrybuty" Zdzisława Pacholskiego w SVC-Gallery w Lublanie w ramach Europejskiego Miesiąca Fotografii, 2015 r.; fot. Zdzisław Pacholski, archiwum rodzinne Janiny Pacholskiej

ski (jako jedyny zaproszony z Polski artysta) miał zaszczyt zaprezentować na festiwalu wystawę „Rekwizyty atrybuty", na którą składało się dwadzieścia sześć prac – fotografie czarno-białe i serigrafie w formacie 70 × 100 cm.

Aleksander Bassin po raz pierwszy natknął się na twórczość Zdzisława Pacholskiego w Niemczech. Zainteresowany nimi, skontaktował się z autorem i zapytał, czy jest możliwe stworzenie cyklu. Artysta przedstawił komisji festiwalowej portfolio tych prac i zobowiązał się do ich zrekonstruowania.

„Rekwizyty atrybuty" to swoisty artystyczny komentarz do zmagań walczącej „Solidarności", wydarzeń stanu wojennego i dochodzenia do prawdziwej demokracji w Polsce w latach osiemdziesiątych ubiegłego stulecia. Fotografie powstawały sukcesywnie do momentu uzyska-

Zdzisław Pacholski rozdaje autografy, Lublana, 2015 r.; archiwum rodzinne Janiny Pacholskiej

nia niepodległości 4 czerwca 1989 roku, a odnoszą się do najważniejszych zdarzeń w Polsce. Wszystkie jednak wykonano w Koszalinie, wykorzystując realia tego miasta.

Ponieważ prace dotyczyły ściśle najważniejszego okresu dochodzenia Polski do wolności – autor zadedykował festiwalową wystawę dwudziestopięcioleciu niepodległości Polski, a wernisaż przypadł niemal dokładnie w rocznicę historycznych wydarzeń!

Ekspozycja cieszyła się dużym zainteresowaniem i uznaniem. Doczekała się rekomendacji Ambasady RP w Lublanie (reprezentowanej na wernisażu przez radcę tej placówki dyplomatycznej – Marzenę Krajewską), a „Gazeta Wyborcza" 6 czerwca na swoich łamach opublikowała obszerny artykuł: *Fotografie buntu z Koszalina na prestiżowym festiwalu*. Dla zainteresowanych tematem – podaję adres strony internetowej z informacjami na temat wystawy artysty: Zpaf.pl/aktualnosci/pacholski-lublana.

Feliksa Pałasz

Praca i emerytura

Kuźnia kadr medycznych

Do pracy w Zespole Szkół Medycznych zwerbowała mnie jego dyrektor do spraw zawodowych Krystyna Homenda. Były to czasy, w których przedstawiciele zakładów pracy przyjeżdżali na uczelnie i zachęcali do zatrudnienia się u nich. Umiejętnie zareklamowała szkołę i miasto, w którym rozpoczęłam pracę we wrześniu 1975 roku.

Koszalin bardzo mi się spodobał, odrestaurowano go ze względu na Centralne Dożynki odbywające się tego roku właśnie w tym mieście. Gościem (a jednocześnie gospodarzem) dożynek był I sekretarz KC PZPR Edward Gierek.

Część kadry i młodzież zaangażowano do przygotowania gali, dlatego rok szkolny rozpoczęliśmy dopiero po dożynkach, które odbyły się 7 września.

Rok urodzenia: 1940

Miejsce urodzenia: Kamienica Szlachecka, pow. kartuski, woj. pomorskie

Droga do Koszalina: Kamienica Szlachecka, Gdańsk, Kartuzy, Kraków, ponownie Kartuzy, Lublin

Od kiedy w Koszalinie: 1 września 1975 r.

Zawód (wyuczony, wykonywany): mgr pielęgniarstwa – nauczycielka przedmiotów zawodowych w szkole pielęgniarskiej

Imiona i nazwiska rodziców: Franciszek ∞ Bronisława Pałaszowie

Miejsca urodzenia rodziców: Kamienica Szlachecka ∞ Załakowo, pow. kartuski

Zawody rodziców: oboje wykształcenie podstawowe – praca w indywidualnym gospodarstwie rolnym

Imiona i nazwiska dziadków: Jan ∞ Augustyna Pałaszowie || Leon ∞ Julianna Grzenkowiczowie

Zawody dziadków: praca w indywidualnym gospodarstwie rolnym

Szkoła była nowa (oddano ją do użytku 8 stycznia 1968 roku), położona na obrzeżach miasta, blisko szpitala i lasu, dobrze zorganizowana i rozsądnie zarządzana przez dyrektor Katarzynę Szymańską. Od początku wiedziałam, że podjęłam właściwą decyzję – w tej szkole chciałam pracować i w tym mieście żyć.

Zawody, do których przygotowywaliśmy uczniów, zmieniały się w zależności od zapotrzebowania na rynku pracy. Kształciliśmy pielęgniarki, położne, opiekunki dziecięce, higienistki stomatologiczne, techników dentystycznych, techników analityki medycznej i ratowników medycznych.

Od roku szkolnego 1991/1992 zmienił się system kształcenia, w wyniku czego nie przeprowadzono naboru do pięcioletniego liceum pielęgniarstwa, a w 1995 roku szkołę opuściły ostatnie absolwentki uczo-

Kadra pedagogiczna przed wejściem do budynku Zespołu Szkół Medycznych im. Tytusa Chałubińskiego, ul. Leśna, lata 80. XX w.; archiwum rodzinne Feliksy Pałasz

ne w tym systemie. Zmniejszyła się liczba uczniów, a tym samym zabrakło pracy dla wszystkich nauczycieli. W tej sytuacji 1 września 1995 roku przeszłam na emeryturę.

1 października 2009 roku powołano Państwową Wyższą Szkołę Zawodową, a wśród jej kilku kierunków kształcenia znalazło się również pielęgniarstwo. Absolwenci tej uczelni uzyskują wykształcenie wyższe pierwszego stopnia. Od 1 marca 2012 roku funkcję rektora pełni Jan Kuriata.

Świat idzie do przodu, a ja przeżyłam nie tylko likwidację czepków, ale i szkół pielęgniarskich.

Grupa nauczycielek przedmiotów zawodowych w ubraniach roboczych i czepkach, z których zrezygnowano na początku lat 90. XX w., autorka – trzecia od prawej, 2. połowa lat 80.; archiwum rodzinne Feliksy Pałasz

Działka i ja

Pracą na działce zainteresowałam się po przejściu na emeryturę. Wychowałam się na wsi i ten rodzaj aktywności bardzo mi odpowiada. Jest to zarazem terapia zajęciowa, rehabilitacja i integracja środowiskowa. Wraz z innymi działkowcami dzielimy się osiągnięciami, wspieramy w niepowodzeniach i świętujemy, na przykład nadejście lata czy imieniny.

Dla mnie również ważne są plony. Przez całe lato i jesień mam ekologiczne produkty – warzywa i owoce, a przy okazji zmniejszam wydatki na żywność.

Szkoda, że obecnie nad ogrodami działkowymi zbierają się czarne chmury. Po latach okazuje się, że nasze altany zostały wybudowane niezgodnie z prawem budowlanym. Dlaczego zauważono to dopiero teraz? Wierzę jednak, że obronimy nasze działki i będziemy mogli nadal spędzać na nich czas.

Autorka (z prawej) z koleżanką Teresą i dyniami na działce w Ogrodzie „Centralnym" przy ul. Lechickiej, założonym 13 VI 1963 r., 8 VI 2013 r. hucznie obchodzono 50-lecie Ogrodu; archiwum rodzinne Feliksy Pałasz

Maria Pluta

Marzenia spełniają się... w Koszalinie

Przyjechałam, zobaczyłam, zostałam

W Koszalinie zamieszkałam dziesięć lat temu. Wcześniej odwiedzałam to miasto okazjonalnie. Były to najczęściej wizyty u rodziny lub lekarza. Znałam ulicę Zwycięstwa, śródmieście i trochę sklepów z dobrymi ubraniami. Myślałam też o przeprowadzce do Słupska, ale to miasto spodobało mi się bardziej jako miejsce dobre dla osoby już nieaktywnej zawodowo. Niewątpliwym walorem jest bliskość morza.

Pamiętam pierwszy spacer w parku Książąt Pomorskich. To słoneczne popołudnie. Alejki pokryte żółto-czerwono-złocistymi liśćmi, które delikatnie szeleściły pod stopami. Na gładkiej tafli wody w stawie wierzbowy listek, leciutko kołysany powiewem jesiennego wiatru jak maleńki żagielek. Łabędź zastygł w bezruchu i ucinał drzemkę z głową schowa-

ROK URODZENIA: 1940

MIEJSCE URODZENIA: Czaplinek

DROGA DO KOSZALINA: Czaplinek, Drawsko Pomorskie

OD KIEDY W KOSZALINIE: 2005 r.

ZAWÓD (WYUCZONY, WYKONYWANY): pielęgniarka (niewykonywany)

IMIONA I NAZWISKA RODZICÓW: Eugeniusz ∞ Władysława

MIEJSCA URODZENIA RODZICÓW: Piotrków Trybunalski ∞ Jędrzejów

ZAWODY RODZICÓW: hydraulik ∞ bez zawodu

IMIONA I NAZWISKA DZIADKÓW: Michał ∞ Anna Plutowie || Tomasz ∞ Marianna Dąbrowscy

ZAWODY DZIADKÓW: nie pamiętam (nie było kontaktu) || rolnicy

ną pod skrzydłem, obok na ławeczce drzemała babcia z pieskiem. On również przysypiał. W oddali cicho szumiało miasto. Ten spacer, ta magiczna chwila... Decyzja zapadła. Postanowiłam zostać w Koszalinie!

Zespół „Gracja"
na Juwenaliach Trzeciego Wieku,
Warszawa, 2003 r.; archiwum
rodzinne Marii Pluty

Koszalin – miasto, które inspiruje

Zadecydowałam, że w Koszalinie spędzę resztę emeryckiego życia. Nie chciałam marnować czasu, wysiadując na ławkach pod lekarskimi gabinetami, chociaż dolegliwości starego wieku nie brakuje i dają mi się we znaki różne reumatyzmy, artretyzmy i sklerozy.

Praca, dom, rodzina i ciągłe zabieganie, za czymś, za kimś... Nie

mogłam jednak zapomnieć jesiennego spaceru w parku. Chciałam uwiecznić to, co tak mnie urzekło. Kupiłam aparat fotograficzny, na który namówił mnie sprzedawca, przekonując, że jest tani i prosty w obsłudze. Dałam się omotać, choć to dla mnie to czarna magia, bo fotografią się przedtem nie zajmowałam.

Za nic nie mogłam pojąć zależności między otwarciem przesłony, czasem migawki i stopniem czułości (ISO). Dlatego też zapisałam się na Uniwersytecie Trzeciego Wieku na kurs fotograficzny, który trochę rozjaśnił mi – na podstawowym poziomie – tajniki fotografii. Nadal nie mam jednak pojęcia o technice i najczęściej robię zdjęcia na automatycznych ustawieniach.

Aparat stał się moim nieodłącznym kumplem w poznawaniu miasta, które mnie ciekawi, intryguje, zaskakuje i które odkrywałam wciąż na nowo.

Po kolorowej jesieni, przyszedł czas na kolejne odsłony – Koszalin zimą, wiosną i latem. Każda pora

Występ tancerek zespołu „Gracja" na Juwenaliach Trzeciego Wieku, Warszawa, 2003 r.; archiwum rodzinne Marii Pluty

roku tutaj mnie zachwyca. Pamiętam zimowy spacer w okolicach filharmonii i mostku na Dzierżęcince. Śnieg zasypał alejki parkowe i wciąż gęsto prószył dużymi wirującymi płatkami, ograniczał widoczność. Widok jak z bajki.

Moja pierwsza wiosna w Koszalinie pokazała, że to miejscowość zieleni, słońca i rześkiego morskiego powietrza.

Po pewnym czasie nagromadziło mi się sporo zdjęć. Co z nimi zrobić? Gdzie obejrzeć, poprawić, zapisać? Potrzebny komputer! To spory wydatek, a emerycki jest portfel chudy. Zapisałam się na kolejny kurs UTW z podstaw obsługi komputera.

Kiedyś przeczytałam w „Głosie Koszalińskim" o konkursie fotograficznym „Zimowy Koszalin". Wysłałam siedem fotografii.

Z nadesłanych do redakcji pięćset pięćdziesięciu dziewięciu zdjęć

Występ zespołu „Volare" na Juwenaliach Trzeciego Wieku, Warszawa, 2014 r.; archiwum rodzinne Marii Pluty

moich siedem zostało wydrukowanych w wydaniu specjalnym tygodnika „Teraz Koszalin". Czułam niedowierzanie, zaskoczenie, ale i radość, bo tak mało wiem o fotografowaniu. To przecież tylko amatorskie pstrykanie!

Koszalin – miasto, w którym spełniają się marzenia

Chyba od zawsze marzyłam, by umieć grać na jakimś instrumencie klawiszowym. Wynikało to pewnie z tego, że będąc dzieckiem, słuchałam często koncertów emitowanych na żywo przez Polskie Radio.

Radia słuchałam przez bardzo popularny w latach sześćdziesiątych odbiornik pionier. Działały wtedy zaledwie dwa programy – pierwszy był przegadany, w drugim grano dużo muzyki klasycznej,

Słuchacze UTW na Juwenaliach Trzeciego Wieku, autorka w prawym dolnym rogu, Warszawa, 2014 r.; archiwum rodzinne Marii Pluty

której jako dziecko nie rozumiałam, ale lubiłam jej słuchać. Biła z niej jakaś niepojęta magia, która przykuwała do odbiornika.

W Polskim Radiu transmitowano na żywo konkursy muzyki Chopinowskiej. Oczyma wyobraźni widziałam śmigające po błyszczącej biało-czarnej klawiaturze swoje palce, wyczarowujące melodie. Dziecięce marzenia, nostalgia za czymś nieokreślonym, bujanie w obłokach. Nie wiem, jak to się stało, ale nut nie poznałam i nie potrafiłam ich czytać, a kiedy tylko słuchałam, muzyka przenikała mnie do głębi i przenosiła w inny, lepszy świat. Wystarczyło zamknąć oczy i być. Wolałam słuchać.

Wiele lat temu, będąc brzdącem, podczas zwiedzania strychu zrujnowanego i opuszczonego domu natknęłam się na stary, rozstrojony, pokryty kurzem i pajęczyną fortepian. Strych był ogromny i cichy. W kątach poniewierały się starodawne, jedzone przez kołatki meble. Przez świetlik w dachu sączyła się ukośna smuga gęstego od kurzu światła padającego na klawiaturę. Uginała się i trzeszczała pod stopami drewniana podłoga, a na zmurszałej belce pod stropem, zawieszony głową w dół spał nietoperz. Wokół panowała dojmująca, wszechogarniająca cisza i magiczny, tajemniczy nastrój. Zaskrzypiała podniesiona klapa, spadły kłęby kurzu. Położyłam drżące palce na klawiszach. W pustej i wielkiej przestrzeni strychu popłynęły ciche i cudowne dźwięki starego fortepianu, które długo potem brzmiały mi w uszach. To był mój pierwszy koncert dla śpiącego nietoperza.

Mijały lata, przeszłam na emeryturę, ale pragnienie, by grać, było ciągle żywe, tliło się gdzieś w podświadomości. Myślałam jednak, że jego zrealizowanie jest już nierealne. Pewnego dnia, przeglądając stronę internetową „Głosu Koszalińskiego", przeczytałam o dofinansowanym ze środków samorządu województwa zachodniopomorskiego projekcie „Z muzyką za pan brat". Kierowano go do starszych ludzi, a zajęcia prowadziła Szkoła Muzyczna Yamaha z Koszalina.

Warunkiem uczestnictwa było zapisanie się do chóru i nauka gry na gitarze, flecie lub keyboardzie. Wybrałam ten ostatni, bo to instrument, który ma klawisze. Kiedy po raz pierwszy usiadłam do klawiatury... przeraziłam się. Jak z takiej liczby przycisków wydobyć melodię, jak i gdzie ułożyć palce?! Mam zagrać? Nie znam przecież nut!

Nauczycielka pani Małgosia Zdrojewska z anielską cierpliwością, właściwą do pracy z dziećmi specjalnej troski, wprowadzała nas w tajniki instrumentu i gry. A ja zwyczajnie zrejterowałam. To dla mnie za trudne! Nie dam rady! Za stara jestem na naukę!

Nie poszłam na kolejne zajęcia przekonana, że sobie nie poradzę. Marzenie znowu rozwiewało się jak siwy dym nad kartofliskiem. Pani Małgosia nie dała za wygraną, zadzwoniła i zaproponowała mi, że jeśli przez kolejne trzy spotkania nie będę sobie radziła, to mogę odpuścić: „Niech pani spróbuje" – namawiała... Namówiła. Wróciłam na zajęcia.

Gram. Od mojego grania nauczyciel może czasem nabawić się bólu głowy, sąsiadka nieraz z hukiem zamknie okno, u innego sąsiada zawyje pies, ale ja robię swoje. Dzięki wyjątkowej cierpliwości, wyrozumiałości, tolerancji i kon-

Politechnika Koszalińska – siedziba UTW w Koszalinie, 2012 r.; archiwum rodzinne Marii Pluty

sekwencji wspaniałej nauczycielki pani Małgosi Zdrojewskiej spełniło się moje dziecięce marzenie o grze na klawiszach. Jestem szczęśliwa, gdy w wigilijny wieczór spod moich palców płynie kolęda „Cicha noc"...

Bałam się, że emerytura będzie wyrokiem, że nic już ciekawego w życiu się nie zdarzy, ale to nieprawda. To wiosna w jesieni życia. To moje cudowne lata. Muzyka pomaga mi uwalniać endorfiny szczęścia i przenosi w inny, szczęśliwszy wymiar rzeczywistości. Jest dobrze, niech tak zostanie. Koszalin to mój port, mój azyl, moje miasto.

Historia szkoły bez końca

Uczysz się od pierwszych chwil życia, kiedy zdziwiony i zapłakany przychodzisz na świat, a kiedy się przewracasz, stawiając chwiejne, niepewne kroki, i nabijasz sobie guza, jesteś uczniem w szkole życia, a twoim pierwszym nauczycielem jest matka. Trzyma twoją małą rączkę w swojej pewnej i ciepłej dłoni – i jest dobrze.

Mama wraca jednak do pracy, bo tak trzeba, a ty idziesz do żłobka, potem do przedszkola. Tam uczysz się dalej. Poznajesz świat i otoczenie, nawiązujesz pierwsze przyjaźnie, czasem oberwiesz. To też nauka. Potem są szkoły: podstawowe, średnie, wyższe. Nauczony, wykształcony podejmujesz pracę, zakładasz rodzinę i znowu uczysz się nowych ról życiowych – bycia rodzicem, pracownikiem, przełożonym, babcią, dziadkiem.

Nareszcie po trudach i zmaganiach z życiem przychodzi czas na zasłużony odpoczynek. Wymarzona emerytura. Czas tylko dla ciebie. Laba i wakacje bez końca. Obiecujesz sobie wyspać się za wszystkie czasy i nieprzespane noce. Ale to iluzja. Wolny czas zaczyna ci doskwierać. Za dużo go masz. Ile można się wylegiwać w łóżku i nic nie robić? Zaczynasz szukać sposobu, by go czymś wypełnić. I znajdujesz coś, co cudownie pomaga ci rozwiązać ten problem. To Uniwersytet Trzeciego Wieku.

Ale zaraz! Jak to? Miało już nie być w twoim życiu więcej szkoły! Koniec z nauką! Tak, ale UTW to inna szkoła, przekonujesz samą siebie... Ne ma wkuwania, zaliczania, stresów i można się tam czegoś nowego nauczyć, chociażby obsługi

komputera, nowego tańca, czy wysłuchać ciekawych wykładów. Możesz też iść z koleżankami na wagary i nie pisać usprawiedliwienia. Babcia na wagarach! Czy to nie jest ekscytujące?!

Życie zatoczyło koło, wracasz do początku i sama nie wiesz, kiedy znowu jesteś uczniem, słuchaczem, studentem. Znowu się uczysz, masz indeks i śpiewasz „Gaudeamus" na rozpoczęcie roku, chociaż masz sześćdziesiąt plus. I znowu nie masz czasu. Wiek emerytalny nie jest końcem czegokolwiek, może być początkiem nowej nauki, ciekawej przygody. Coś się kończy, coś zaczyna. Emerytura może być wiosną w jesieni życia. To są cudowne lata. Uniwersytet Trzeciego Wieku w Koszalinie to szkoła życia, która nie kończy się nigdy.

Uczestniczki warsztatów muzycznych w Szkole Muzycznej Yamaha w Koszalinie, autorka pierwsza z prawej, 2014 r.; archiwum rodzinne Marii Pluty

Odnaleziona po... czterdziestu latach

Iwona była koszalinianką, wynajmowała pokój u mojej siostry, tam ją poznałam. Pra-

cowała w Powiatowym Domu Kultury. Pogodna, pełna optymizmu, o rozbrajającym uśmiechu. Zaprzyjaźniłyśmy się. Miało to miejsce czterdzieści lat temu w miasteczku odległym o sto kilometrów od Koszalina. Iwona zmieniła pracę i wyjechała z powrotem do rodzinnego miasta. Kontakt się urwał.

Mijały lata, dużo się działo. Przeprowadziłam się do Koszalina i jako świeżo upieczona emerytka zapisałam na Uniwersytet Trzeciego Wieku. To dobry powód, by wyjść z domu i realizować swoje marzenia, pragnienia, na które wcześniej brakowało czasu. To możliwość poznania nowych ciekawych ludzi.

W czerwcu każdego roku organizowane są w Warszawie ogólnopolskie Juwenalia Uniwersytetów Trzeciego Wieku. UTW Koszalin promuje

Uczestniczki warsztatów w oczekiwaniu na zajęcia, autorka pierwsza z lewej, 2014 r.; archiwum rodzinne Marii Pluty

na nich osiągnięcia artystyczne słuchaczy w tańcu, śpiewie, malarstwie, fotografii i poezji. To ekscytująca impreza, popularyzująca poprzez uczestnictwo również miasto Koszalin, w którym można się pięknie starzeć.

W hotelu zamieszkałam z opiekunką chóru. Wieczorem zapytała, czy nie będzie mi przeszkadzała próba chóru w pokoju przed występem. Koncerty odbywają się teatrze „Palladium" i kultowym klubie „Hybrydy" na ulicy Złotej, u stóp Pałacu Kultury i Nauki. Odpowiedziałam, że nie będzie, a nawet chętnie posłucham. Przyszło kilkanaścioro rozśpiewanych chórzystów. To miał być ich debiut na Juwenaliach. Jedna z chórzystek – Hania – z twarzy kogoś mi przypominała, ale tyle się działo, że nie myślałam o tym długo, chociaż ożyło we mnie jakieś mgliste wspomnienie wydobywające się z głębin pamięci. Pomyślę później. Teraz chcę się bawić!

Gwarny i wesoły powrót do domu po imprezie. W autokarze siedziała obok i znowu myślałam, zerkając w jej stronę, że... kogoś mi przypomina. Znajomy, a zapomniany uśmiech. Strzeliłam i zapytałam, czy ma siostrę Iwonę. Tak, ma siostrę Iwonę! Ogromna radość, niecierpliwe i chaotyczne pytania – co u niej słychać. Wymiana telefonów, adresów mailowych i nawiązany ponownie kontakt po czterdziestu latach. Koszalin wciąż miło zaskakuje!

Marek Płaza

Dzieciństwo w straży

Urodziłem się w maju 1955 roku – dziesięć lat po wojnie w Koszalinie jeszcze wiele ulic leżało w gruzach. Mój tata, który był komendantem powiatowym straży pożarnej w Miastku, w 1952 roku został przeniesiony służbowo do pracy w Komendzie Wojewódzkiej Straży Pożarnej w Koszalinie.

W siedzibie koszalińskich strażaków, obok zastępów bojowych, mieszkały rodziny pożarników i ich dzieci. Rodzice wprowadzili się do mieszkania na trzecim piętrze od strony katedry, a więc pierwsze lata życia spędziłem w straży pożarnej przy ulicy Kazimierza Wielkiego 7.

Mieszkaliśmy tam do lata 1959 roku. W gmachu tym zamieszkiwali również między innymi państwo Popkowie (z dwiema córkami), państwo Kluzowie (z trzema córkami), państwo Mędrzyccy (i ich czworo dzieci), państwo Winiarscy z synem. Pani Kluza samotnie mieszka tam do dziś.

ROK URODZENIA: 1955

MIEJSCE URODZENIA: Koszalin

DROGA DO KOSZALINA: –

OD KIEDY W KOSZALINIE: od urodzenia z przerwami na pobyt u dziadków w Miastku

ZAWÓD (WYUCZONY, WYKONYWANY): emerytowany policjant

IMIONA I NAZWISKA RODZICÓW: Eugeniusz Płaza ∞ Krystyna z d. Bryksa

MIEJSCA URODZENIA RODZICÓW: Niebylec ∞ Bełz

ZAWODY RODZICÓW: oficer pożarnictwa ∞ księgowa

IMIONA I NAZWISKA DZIADKÓW: Stanisław Płaza ∞ Stefania z d. Winiarska || Józef Bryksa ∞ Wiktoria z d. Biernat

ZAWODY DZIADKÓW: policjant ∞ gospodyni domowa || rolnicy

Teren straży zajmował wówczas o wiele większą powierzchnię, bo w miejscu, którym obecnie znajduje się kort tenisowy i wieża do wspinaczki, mieścił się duży sad, który po stoku schodził aż na obecny parking przy ulicy Grunwaldzkiej. W tym miejscu był mały staw, obecnie zasypany. To miejsce naszych dziecięcych zabaw i wypoczynku naszych rodziców.

Autor i jego babcia Wiktoria Bryksa przez budynkiem straży pożarnej, zima 1957 r.; archiwum rodzinne Marka Płazy

Pamiętam budynki stojące obok (dawna siedziba straży pożarnej) – w nich mieściły się magazyny mebli Miejskiego Handlu Detalicznego (obecnie pusty plac za budynkiem dawnego PKO). Ulica Kazimierza Wielkiego nie została jeszcze wtedy odbudowana – dopiero zaczęto stawiać bloki przy Zawiszy Czarnego, Dąbrówki, Księżnej Anastazji, do których przeprowadziliśmy się w 1959 roku.

„Nasza buda" – tak mówiliśmy o naszej kochanej Szkole Podstawowej nr 1 w Koszalinie. Gdy przekraczałem jej progi w 1962 roku, w drzwiach nas, pierwszoklasistów witał „duży pan" – okazało się, że to woźny szkoły pan Dudziński, człowiek, którego uczniowie z tamtych lat pamiętają i będą pamiętali do końca swojego życia. Było w tym człowieku tyle dobra, ile sam ważył. Drugim ważnym dla nas człowiekiem w szkole okazała się kochana pani Danuta Schütz, która była naszą wychowawczynią do ukończenia przez nas nauki w ósmej klasie. Z tego okresu pamiętam wielu nauczycieli, na przekład od wychowania fizycznego pana Kielara i Marka Weryka, nauczyciela prac ręcznych pana Fiutka, nauczycielkę fizyki panią Mazanik, nauczycielkę języka polskiego i moją pierwszą drużynową harcerską Marię Śliwińską-Ulicką oraz dyrektorów szkoły: Zbigniewa Łubkowskiego i Romana Skeczkowskiego.

To w tej szkole zostałem zuchem, harcerzem, dzięki zasadom wpojonym przez drużynową – bycie harcerzem stało się dla mnie kierunkowskazem na dalsze życie, a zdobyte umiejętności pozwalają mi dziś pomagać innym ludziom.

Z naszej klasy wywodzi się kilka znanych osób: wspomnę judokę Zbigniewa Tałaja, z którym często siedziałem w jednej ławce, razem pryskaliśmy na wagary i razem obrywaliśmy za źle prowadzone zeszyty. Rozjechali się ludzie po Polsce i świecie: Marek Leszkowicz jest pastorem w Australii, Roman Karaś służył przez wiele lat na wzgórzach Golan jako dowódca polskich żołnierzy. Ale aż cztery osoby już nie żyją... Parę lat temu z okazji dwudziestopięciolecia ukończenia szkoły spo-

Dzieci mieszkające w budynku straży pożarnej, od lewej: Danuta Popek, autor, Jolanta Płaza (siostra), Danuta Kluza, Janusz Strumiło, Renata Kluza, 1958 r.; archiwum rodzinne Marka Płazy

Dzieci w ogrodzie przy straży pożarnej (obecnie w tym miejscu znajduje się kort tenisowy) i jeszcze wysokie stare mury obronne, od lewej, w dolnym rzędzie: Danuta Kluza, Jolanta Płaza, Danuta Popek, w górnym rzędzie czwórka rodzeństwa Mądrzyckich i autor (przy wózku), 1958 r.; archiwum rodzinne Marka Płazy

tkaliśmy się tu, w Koszalinie, byliśmy w naszej szkolnej sali (VIII b) na trzecim piętrze obok auli szkolnej i niejednej koleżance łezka poleciała. Ale to spotkanie pokazało, jak trudno spotkać się po latach.

Za każdy razem, gdy przechodzę obok budynku szkoły, mówię do siebie „moja buda", ta, która dała mi możliwość poznania liter, nauczyła słupków z matematyki, pokazała, jak piękny jest świat przyrody i tajemniczy fizyki i chemii. To tu zawiązały się niejedne przyjaźnie, ale to tu też miały miejsce pierwsze porażki. To ta szkoła ukształtowała mnie na całe dorosłe życie.

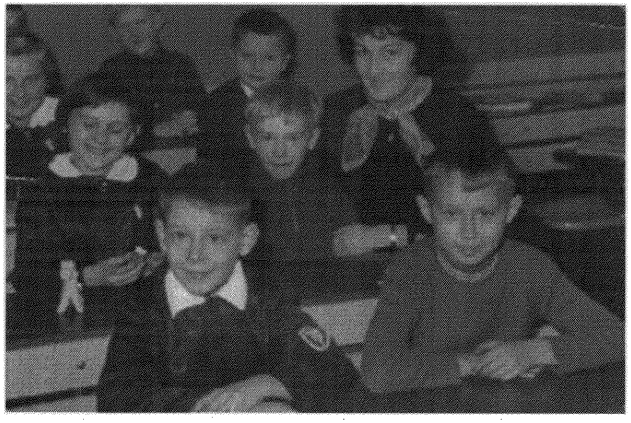

Klasa I b Szkoły Podstawowej nr 1,
z przodu od lewej: Zbigniew Kargieło,
autor, za nimi wychowawczyni Danuta Schütz,
1962 r.; archiwum rodzinne Marka Płazy

W młodości chciałem zostać strażakiem, ale ukończyłem Technikum Elektroniczne. W 1979 roku rozpocząłem służbę w Komendzie Wojewódzkiej Milicji Obywatelskiej w Koszalinie. Po likwidacji województwa byłem specjalistą do spraw nieletnich i patologii wśród młodzieży w Wydziale Prewencji Komendy Miejskiej Policji, pełniłem także funkcję rzecznika prasowego.

Do 1985 mieszkałem w centrum Koszalina i podziwiałem, jak się zmienia, jak rosną nowe budynki (w tym ratusz), jak zmienia się miasto.

By zyskać upragniony spokój, wybudowałem w 2005 roku dom rodzinny w Nowych Bielicach. Mieszkam tam z żoną Beatą, dyrektorką Centrum Kształcenia Ustawicznego im. Stanisława Staszica w Koszalinie, i dwoma kotami: Mietką i Rysiem. Jestem ojcem dwóch dorosłych synów. Starszy, Łukasz,

absolwent prawa Uniwersytetu Mikołaja Kopernika w Toruniu, jest właścicielem kancelarii adwokackiej w Toruniu. Młodszy, Dariusz, ukończył SGH w Warszawie, obecnie mieszka i pracuje w czeskiej Pradze.

Członkiem Związku Harcerstwa Polskiego zostałem, mając 11 lat, dziś jestem instruktorem w stopniu harcmistrza. W koszalińskiej Komendzie Hufca byłem instruktorem i dwa razy zastępcą komendanta do spraw programowych, a później szefem Komisji Rewizyjnej w koszalińskiej Chorągwi ZHP. Przez dwadzieścia cztery lata zajmowałem się prowadzeniem obozów szkoleniowych, krajowych i zagranicznych, rajdów i zlotów harcerskich. Do dziś jestem czynnym instruktorem, podobnie jak żona i synowie.

Działałem także w koszalińskim Towarzystwie Przyjaciół Dzieci. Pełniłem tam funkcję kierownika zespołu profilaktyki, który zajmuje się rodzinami patologicznymi. Prowadziłem też punkt konsultacyjny dla rodziców narkotyzujących się dzieci.

Przez piętnaście lat pełniłem funkcję szefa koszalińskiego sztabu w Wielkiej Orkiestrze Świątecznej Pomocy. Obecnie jestem członkiem zespołu interdyscyplinarnego do spraw przemocy w rodzinie przy Starostwie Koszalińskim. Stworzyłem autorskie programy profilaktyczne dla policji „Narkotykom – stop" i harcerzy „Harcerze przeciwko narkomanii" skierowane do nauczycieli, rodziców, dzieci i mło-

Autor jako zastępca komendanta Hufca ZHP Koszalin, 1985 r.; archiwum rodzinne Marka Plazy

dzieży. Współpracuję z Towarzystwem Przyjaciół Dzieci, Towarzystwem Zapobiegania Narkomanii, Stowarzyszeniem Profilaktyki, Terapii „Młodzi – Młodym" w Koszalinie.

Moja lista odznaczeń jest bardzo długa. Najbardziej cenię sobie Złoty Krzyż Zasługi dla ZHP i Złotą Odznakę TPD „Przyjaciel dziecka".

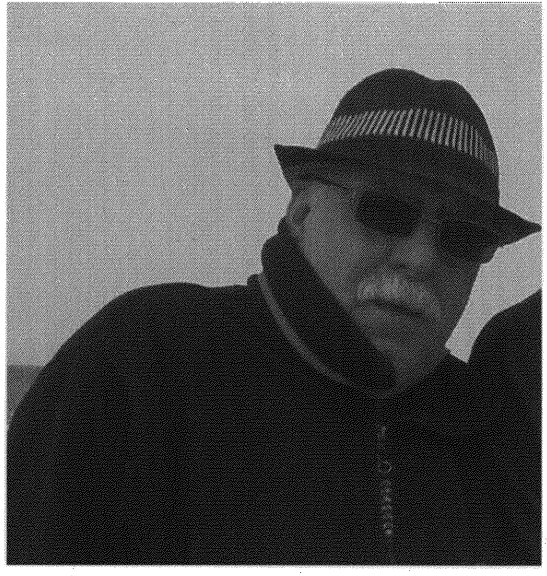

Autor: „A teraz tak wyglądam!", 2014 r.;
archiwum rodzinne Marka Płazy

Jednak do swoich największych sukcesów życiowych zaliczam to, że mimo wielu obowiązków zawsze potrafiłem znaleźć czas dla swoich dzieci. Byliśmy i jesteśmy dla siebie partnerami.

Interesuję się historią II wojny światowej i dziejami harcerstwa, w wolnych chwilach majsterkuję, sam naprawiam swój samochód. Kocham las i przyrodę. Moje ulubione książki to *Przygody dobrego wojaka Szwejka* Jaroslava Haška i *Paragraf 22* Josepha Hellera. Szczególnie cenię przyjaciół, zwłaszcza tych, na których zawsze można liczyć.

W ostatnich wyborach samorządowych zdobyłem mandat radnego gminy Biesiekierz, a radni na pierwszej sesji nowej kadencji jednogłośnie powierzyli mi funkcję przewodniczącego Rady Gminy.

Jakie są moje plany i marzenia na przyszłość? Usiąść w ogrodzie i mieć święty spokój. Tak, ale nie potrafię zapomnieć o tych, którzy potrzebują pomocy. Jestem świadom zagrożeń, które czyhają na młodych, osamotnionych i zagubionych ludzi, dlatego chciałbym im pomóc je ominąć oraz ułatwić realizację ich życiowych marzeń.

Elżbieta Potrykus

Koszalin, jaki pamiętam...

Do Koszalina przyjechałam w sierpniu 1964 roku jako świeżo upieczona magister filologii polskiej po studiach na Uniwersytecie im. Adama Mickiewicza w Poznaniu. Fakt, że znalazłam się w Koszalinie, ma trochę ironiczny wydźwięk: szkołę średnią ukończyłam w Gdyni, cała moja rodzina – ojciec i dorosłe rodzeństwo – była zawodowo związana z Gdynią, oddaloną od mojego rodzinnego domu o kilkanaście kilometrów. Wybierając studia w Poznaniu, miałam przekonanie, że i ja wrócę w rodzinne strony i tam nie tylko rozpocznę, ale będę kontynuowała swoje życie zawodowe.

Z tego też powodu nie przyjęłam stypendium fundowanego oferowanego mi przez Kuratorium Oświaty w Koszalinie (w tamtym czasie stypendia studentom wyższych uczelni fundowały instytucje, urzędy, organizacje lub wręcz konkretne zakłady pracy na terenach, na których popyt na wykwalifikowane kadry z wyższym wykształceniem był

ROK URODZENIA: 1941

MIEJSCE URODZENIA: Dębogórze k. Gdyni

DROGA DO KOSZALINA: Gdynia, Poznań

OD KIEDY W KOSZALINIE: od 1964 do 1987 r.

ZAWÓD (WYUCZONY, WYKONYWANY): mgr filologii polskiej i mgr prawa

IMIONA I NAZWISKA RODZICÓW: Juliusz Potrykus ∞ Marianna z d. Dias

MIEJSCA URODZENIA RODZICÓW: Polska

ZAWODY RODZICÓW: ?

IMIONA I NAZWISKA DZIADKÓW: ?

ZAWODY DZIADKÓW: ?

szczególnie wysoki; dotyczyło to głównie tak zwanych Ziem Zachodnich). Ponieważ wyniki w nauce uprawniały mnie do otrzymywania stypendium państwowego, wybrałam właśnie takie (chociaż było ono niższe od fundowanego i nie zapewniało mieszkania) w nadziei, że dzięki temu nie będę musiała odpracowywać go w instytucji fundującej (przez liczbę lat równą okresowi pobierania stypendium).

Byłam przekonana, że uda mi się znaleźć pracę w Gdyni lub Gdańsku, to jest w miastach, z którymi czułam się związana emocjonalnie i tradycją rodzinną. Niestety, stało się inaczej: Trójmiasto w tym czasie stanowiło strefę zamkniętą i nie przyjmowało do pracy ani nie dawało meldunku uprawniającego do zamieszkania lub ubiegania się o mieszkanie osobom aktualnie spoza Gdyni, Gdańska i Sopotu, chyba że ściągniętych do pracy w konkretnym zakładzie pracy, który gwarantował mieszkania zakładowe. Na polonistę, nawet z tytułem magistra, takiego zapotrzebowania jednak nie było. Nie miałam też szans na etat w jakiejkolwiek szkole, do której mogłabym dojeżdżać z rodzinnego domu.

Jak się okazało, takiego zapotrzebowania na pełnoetatowego polonistę nie było w tym czasie również w żadnej szkole średniej w Koszalinie, gdzie stypendium fundowane zaczęła odpracowywać (i z tego tytułu otrzymała mieszkanie) moja koleżanka z Gdyni – współlokatorka z akademika w Poznaniu.

Wtedy to – w czasie, kiedy poszukiwałam pierwszej pracy – skontaktował się ze mną dawny działacz Koła Młodych Stronnictwa Demokratycznego (w czasie studiów należałam do tej organizacji), który po ukończeniu nauki podjął pracę w Wojewódzkim Komitecie SD w Koszalinie. Andrzej przekonał mnie do przyjazdu do tego miasta i podjęcia pracy w Miejskim Komitecie SD, gdzie właśnie poszukiwano „odpowiedniego" pracownika. Wobec braku innej – zainteresowałam się tą ofertą, szczególnie kiedy okazało się, że pracując na etacie administracyjnym w biurze Miejskiego Komitetu SD, będę mogła prowadzić kilka godzin zajęć tygodniowo w Technikum Budowlanym w Koszalinie, a także kontynuować zaocznie studnia prawnicze (dojazd z Koszalina do Poznania był całkiem dogodny!).

Istniał tylko jeden warunek – pracę musiałam podjąć od zaraz, a ja miałam w sierpniu wyjechać w góry na wędrowny obóz studencki, sfinansowany przez uczelnię w nagrodę za dobre wyniki. Tu znów przekonał mnie Andrzej, zapewniając, że będę mogła pojechać w góry jeszcze nie jeden raz, ponieważ w Koszalinie działa Klub Turystyki Górskiej. Zdecydowałam się więc wziąć walizkę niezbędnych rzeczy oraz świeżo przez mamę usypaną kołdrę i pojechać – na jakiś czas – do Koszalina (czyli do momentu, kiedy nie znajdę czegoś odpowiedniego w Gdyni).

Ten „jakiś czas" w Koszalinie trwał ostatecznie dwadzieścia trzy lata – od 1964 do 1987 roku. W tym okresie wraz z kolegami i koleżankami z Klubu Turystyki Górskiej faktycznie odbyłam niejedną wędrówkę po Tatrach, Sudetach i Bieszczadach (kiedy przyjechałam do Koszalina, Klubem kierował entuzjasta turystyki górskiej, ówczesny przewodniczący Miejskiej Rady Narodowej w Koszalinie, śp. Adam Śnieżek).

W pracy, przy biurku z telefonem – autorka, kierownik Działu Służb Pracowniczych Koszalińskiej Wytwórni Części Samochodowych, 1974 r.; archiwum rodzinne Elżbiety Potrykus

Pewnie pozostałabym w Koszalinie na stałe – tu miałam pracę, która dawała mi satysfakcję, tu urodził się i rozpoczął naukę mój syn Wojtek, tu miałam mieszkanie (ciągle oczekując w kolejce na lokal spółdzielczy w Gdyni) i przyjaciół. Jednak sytuacja polityczna i moje zaangażowanie w tworzenie ruchu „Solidarność", a w następstwie tego represje po wprowadzeniu w grudniu 1981 roku stanu wojennego spowodowały, że w 1987 roku ostatecznie podjęłam decyzję o wyjeździe nie tylko z Koszalina, ale i z Polski.

Po dwudziestu latach pobytu na emigracji w Stanach Zjednoczonych wróciłam do kraju. Mimo że z Koszalinem jestem nadal bardzo emocjonalnie związana, zamieszkałam w Gdyni, która chociaż bardzo się w czasie mojej nieobecności zmieniła, pozostała moim miastem. Zresztą – podobnie jak Gdynia – zmienił się też (głównie w pozytywnym sensie) Koszalin. Nie jest to już ani Koszalin, który zastałam w 1964 roku, ani też ten, który opuszczałam w 1987.

Autorka (w spódnicy) i Janina Kłus wraz z innymi pracownikami Koszalińskiej Wytwórni Części Samochodowych w ramach czynu społecznego wyrównują tereny przyległe do al. XXX-lecia (dziś Monte Cassino) przed centralnymi dożynkami, 1975 r.; archiwum rodzinne Elżbiety Potrykus

To miasto bardzo się zmieniło – nie chodzi mi tylko o to, że się rozbudowało i wypiękniało – zmieniła się jego dusza... Nie ma już wielu zakładów przemysłowych i związanej z tym atmosfery, nie ma już zapamiętanych miejsc i ławeczek w parku, odwiedzanych barów mlecznych i kawiarni, znajomych ludzi... Chodzi o to, co trudno mi nazwać, wymierzyć, opisać (pewnie to atrybuty młodości), nie ma tego entuzjazmu, a może naiwności, które były motorem naszego działania w czasach zupełnej – wydawałoby się – beznadziei i szarości, tego żaru, który charakteryzował ludzi przy grabieniu trawników w pierwszomajowym czynie społecznym czy montowaniu ołtarzy na procesję Bożego Ciała. Wtedy my, absolwenci, czuliśmy się jak pionierzy – czuliśmy się u siebie, potrzebni miastu, a miasto było potrzebne nam.

Teraz – po powrocie do kraju, w pierwszej dekadzie nowego tysiąclecia, a drugiej nowej Polski (Polski, o którą przecież walczyłam) – poczułam się obco w swoim mieście. Zdaję sobie sprawę z upływu czasu, wiem, że dwadzieścia lat nieobecności to wiele, ale przejść przez całe miasto – od tak zwanego Związkowca do dworca – i nie odkłonić się nikomu ani nikomu się nie ukłonić, to znaczy nie być już u siebie. Uświadomiłam sobie, że to, co łączyło mnie z Koszalinem, to przeszłość, a ja jestem z minionej epoki, jestem tu już obca (proszę mi wierzyć, to bardzo przykre uczucie znaleźć się w mieście, które kiedyś uważało się za swoje, w miejscach, które kiedyś należały do ciebie, a ty do nich, a teraz czuć się tu obcym, niby u siebie – a jednak obcym). Dlatego nie było mi trudno wrócić po latach i zamieszkać nie w Koszalinie, lecz w Gdyni.

Do miasta nad Dzierżęcinką przyjeżdżam dosyć często i niejednokrotnie wspominam to miasto takim, jakie je zapamiętałam z tamtych najwcześniejszych lat i tych trochę późniejszych. Są to pewnie wspomnienia młodości i tęsknota za nią oraz nostalgia powodowana świadomością przemijania, ale kiedy w gronie znajomych z przypominamy sobie to, co w tym mieście przeżyliśmy, stajemy się znów młodzi i wybuchamy śmiechem, kiedy uświadamiamy sobie, że pomnik Karola Świerczewskiego przerobiono na pomnik Władysława Andersa...

Koszalin z roku 1964 to zupełnie inne miasto niż obecnie. Niewiele znajdowało się tu nowych domów, całe śródmieście to stare poniemieckie kamieniczki, przy ulicy Zwycięstwa (a w kierunku dworca) Bank PKO to najokazalszy budynek w tej

części miasta. Stał już w Koszalinie nowoczesny – jak na owe czasy – ratusz, a po jego zachodniej stronie restauracja „Ratuszowa", gdzie kwitło nasze życie towarzyskie. Za niewielką sumę pieniędzy można było po pracy zjeść schabowego z ziemniakami i kapustą, popić kompotem z jabłek... Co za czasy! My – początkujący nauczyciele – mogliśmy pozwolić sobie na taką ekstrawagancję jak jadanie w restauracji – nie od święta, lecz tak zwyczajnie – po pracy. Często obiad w „Ratuszowej" kończyła kawa (mała czarna) i lampka egri bikavér (modne wtedy wśród młodych nauczycieli wino węgierskie) w nowo oddanej do użytku kawiarni „Ewa" przy ulicy 1 Maja (niestety, niedawno stwierdziłam, że już jej tam nie ma).

W czasie, kiedy przybyłam do Koszalina, działał tu już od kilku lat Klub Absolwentów skupiający absolwentów wyższych uczelni, głównie poznańskich, ale nie tylko. Tu zawiązały się przyjaźnie, które przetrwały lata – niezależnie od tego, jakie zawody reprezentowali jego członkowie i jakie stanowiska zajmowali. Relacji tych nie zniszczyły burze przemian ustrojowych, kiedy wydawać by się mogło, że poglądy polityczne (wyrażane z przekonania lub z przyczyn koniunkturalnych) powinny nas poróżnić. Pamiętam, że nawet w stanie wojennym, kiedy znaleźliśmy się po przeciwnych stronach barykady z niektórymi członkami byłego Klubu Absolwentów (przestał działać chyba w końcu lat sześćdziesiątych) nie mogłam moim dawnym przyjaciołom zarzucić nielojalności wobec mnie lub intencjonalnej zdrady (mimo różnicy poglądów i postaw wobec reżimowych władz). Nie wiem, czy zawsze było to podyktowane wyłącznie dawną przyjaźnią lub lojalnością – przecież ja również nie „zdradzałam", że niektórzy z moich „wysoko partyjnych" kolegów na stanowiskach (bo wielu z nich dochrapało się takich funkcji – niekoniecznie zawsze dzięki odpowiednim kompetencjom, ale wstąpieniu do PZPR) uczęszczali ze mną na tak zwane majowe (nabożeństwo odprawiane w Kościele katolickim w maju ku czci Najświętszej Maryi Panny) lub na inne uroczystości kościelne, kiedy demonstrowanie takich postaw mogło utrudnić zajmowanie pewnych godności.

Pamiętam, że do Klubu Absolwentów należało kilku przyszłych dyrektorów ważnych koszalińskich zakładów przemysłowych, wspomniany wcześniej przewodniczący Miejskiej Rady Narodowej Adam Śnieżek, a także przyszły wojewoda

koszaliński, który już na tym stanowisku zachował się bardzo przyzwoicie wobec „Solidarności", czym zyskał sobie nasz – to znaczy koszalińskich władz związku – szacunek, a później, po wprowadzeniu stanu wojennego, przypłacił to utratą funkcji. Mówię tu o wojewodzie Janie Urbanowiczu, kilka lat ode mnie starszym absolwencie polonistyki Uniwersytetu w Poznaniu.

A miasto Koszalin zmieniało się na naszych oczach, choć jego rozbudowa ciągnęła się latami...

Jakie to było osiągnięcie nowoczesnej architektury, kiedy oddano do użytku pierwsze w Koszalinie centrum handlowe „Saturn". Wreszcie – chyba pod koniec 1966 roku – po dwóch latach budowy odsłonięto to, co kryło się za blaszanym ogrodzeniem, i co, prócz ciekawości (nie instalowano wówczas tablic informujących, co i na czyj koszt jest budowane), powodowało konieczność przechodzenia na drugą stronę ulicy i otrzepywania zabłoconych butów (również inaczej w tamtych latach zabezpieczano budowy w centrum miasta). Naszym oczom ukazał się wklęsły, trochę jakby przysadzisty budynek. Miał dziwny dach i zawierał wiele szklanych elementów, co absolutnie wyróżniało go spośród sąsiadujących z nim poniemieckich kamieniczek i niedalekiej gotyckiej katedry. Zastanawialiśmy się wtedy, co autor miał na myśli, projektując taką budowlę jako przybytek handlu detalicznego. Co miał wyrażać ten dziwny kształt dachu? Chyba ostatecznie zadowoliła nas interpretacja, że to wyobrażenie fali morskiej.

Miał więc teraz Koszalin kolejny dowód, że leży nad polskim Bałtykiem, co wcześniej (w 1965 roku) już potwierdził wzniesiony na placu przed ratuszem betonowy pomnik upamiętniający powrót tych ziem do Macierzy. Wtedy również koszalinianie patrzyli i pytali, co oznaczają te trzy betonowe obeliski ustawione na placu (wówczas noszącym nazwę Bojowników PPR). Jednak wówczas wątpliwości nie powinno być żadnych, gdyż na betonowych słupach umieszczono słowa – „Byliśmy, Jesteśmy, Będziemy" – na każdym obelisku jedno z nich. Pomnik (pieszczotliwie przez koszalinian nazywany „szparagami") symbolizujący polskość tych ziem i trwanie ich przy macierzy został w 2013 roku przeniesiony do parku Książąt Pomorskich przy amfiteatrze i chyba tam się lepiej komponuje z otaczającą go zielenią.

W każdym razie, wzniesiony z okazji dwudziestolecia PRL monument był bardziej na miejscu i na czasie niż odsłonięty w 1954 roku przed Urzędem Wojewódzkim (na ówczesnym placu Zwycięstwa, przy ulicy Zwycięstwa) pomnik „Wdzięczności", wokół którego i jego symboliki narosło wiele niepochlebnych anegdot i żartów, a przylgnęła do niego nazwa „Kidnaper" (obiekt w 2003 roku przeniesiono na koszaliński cmentarz komunalny do kwatery poległych żołnierzy radzieckich).

Jakoś nie miał (i chyba nadal – nie ma!) Koszalin szczęścia do pomników. Za to „Saturn" to szczyt nowoczesności i rozmachu (!) – jak na owe czasy – i choć czasem nie było wystarczającej ilości towarów, żeby go odpowiednio wyposażyć, to mieliśmy teraz coś, czego nie miał rywalizujący z Koszalinem Słupsk. Zwiedzało się ten sklep na pewno z większymi emocjami niż otwarte kilka lat temu „Atrium Koszalin" (wcześniej „Forum"). „Saturn" to powód do dumy, który zbliżał Koszalin do standardów europejskich. Oczywiście wtedy dla miasta ciągle niedoścignionym wzorem były centra handlowe w NRD, w szczególności zaprzyjaźnionego Neubrandenburga. Ówczesnych włodarzy miasta tak zauroczył ten wzorzec, że nazwę siostrzanego miasta nadano kolejnemu obiektowi handlowo-usługowemu, tym razem na budowanym wówczas osiedlu mieszkaniowym Północ, które od początków lat siedemdziesiątych rozwijało się w szybkim tempie. Powstało więc od podstaw nowe centrum handlowo-rozrywkowe „Neubrandenburg" ze sklepem delikatesowym, zakładem fryzjerskim, księgarnią, a także restauracją nosząca tę właśnie nazwę. Odtąd na sylwestra szło się nie tylko do „Fregaty", ale też modne stały się bale sylwestrowe i ubawy w „Neubrandenburgu".

A przecież jeszcze tak niedawno w tym miejscu rosło zboże! Koszalin końca lat sześćdziesiątych i pierwszej połowy lat siedemdziesiątych z dużym rozmachem rozrastał się w kierunku wschodnim i północnym. Tam, gdzie jeszcze niedawno z okien mojego bloku przylegającego do ulicy Władysława IV rozciągał się widok na pola uprawne i nieliczne zabudowania otoczone sadami, teraz powstawało osiedle spółdzielczego budownictwa mieszkaniowego z blokami czteropiętrowymi i kilkoma „wieżowcami", jak wówczas nazywano budynki dziesięciokondygnacyjne. Osiedle to już w latach osiemdziesią-

tych poszerzyło się o budownictwo szeregowe i indywidualne (spółdzielcze i prywatne), a obecnie sięga aż do krawędzi lasu, który w 1965 roku widziałam z okna mojego mieszkania przy ulicy Pionierów 11.

Rosło też osiedle nowych bloków w kierunku jeziora i wsi Jamno. Wprawdzie nie miałam okazji spotkać krów przechodzących przez ulicę Młyńską, ale żyją jeszcze ludzie, którzy pamiętają takie obrazki z Koszalina lat sześćdziesiątych ubiegłego stulecia. Ja zapamiętałam stodołę i podwórze gospodarstwa mieszczącego się na rogu ulicy Młyńskiej i placu Jana Kilińskiego (na zapleczu aresztu śledczego). Tam faktycznie widziałam krowy. Może to te same, które inni widywali na Młyńskiej, a ja obserwowałam pędzone pod moimi oknami i dalej na łąki za tak zwanym wąwozem, nad którym opalaliśmy się latem.

Wąwóz (to chyba pozostałość rowu przeciwczołgowego, jakie widziałam i pamiętam z okresu swojego dzieciństwa na Kępie Oksyw-

Autorka z rocznym synkiem Wojtkiem po 1-majowym czynie społecznym udają się na posiłek regeneracyjny w stołówce zakładowej, 1977 r.; archiwum rodzinne Elżbiety Potrykus

skiej, albo inne sztuczne wyrobisko, gdyż nie wydawał się naturalnym tworem geologicznym) przez kilka lat jeszcze stanowił miejsce spotkań i rekreacji, głównie dla rodzin z małymi dziećmi. Przecinał położoną o kilkadziesiąt metrów od mojej ulicy Pionierów (w tamtym czasie ulica ta zamykała osiedle od strony północnej) łąkę, która stanowiła naszą osiedlową plażę, zanim jeszcze Mielno stało się modne i dostępne nie tylko w niedziele (pracowało się wtedy również w soboty) oraz zanim prawie pięćdziesiąt lat później oddano do użytku mieszkańców Koszalina (ku zdziwieniu przybyszów) sztuczny zalew i plażę nad Dzierżęcinką na południowych krańcach miasta. Północ miała już swoją plażę (może mniej elegancką, ale i też mniej kosztowną) prawie pół wieku wcześniej, kiedy wokół pasły się krowy, a na Górę Chełmską chodziło się pieszo.

Spotkanie Lecha Wałęsy
z mieszkańcami Koszalina w amfiteatrze,
autorka pierwsza z lewej, czerwiec 1981 r.;
archiwum rodzinne Elżbiety Potrykus

Pieszo docierało się również do pracy. Dla mnie z Północy do centrum to krótka droga. Zarówno wtedy, kiedy szłam do szkoły przy ulicy Jedności, jak i później – gdy pracowałam w Urzędzie Wojewódzkim – przechodziłam obok dawnego cmentarza ewangelickiego przy ulicy Aleksandra Zawadzkiego. Lubiłam chodzić na to nieogrodzone cmentarzysko, które wiosną bieliło się najpierw przebiśniegami, a trochę później – zawilcami. Do przyległego parku przy ulicy Tadeusza Kościuszki chadzałam ze swoją klasą na tak zwane lekcje w plenerze.

Wiosną 1968 roku już nie poszłam – zniechęcił mnie dziwny słodkawy zapach, który roztaczał się wokół cmentarza, kiedy mijałam go w drodze do pracy. W tym roku rozpoczęto tam wykopy pod mającą powstać w tym miejscu Bibliotekę Wojewódzką, do której planowano przenieść zbiory z dwóch dotychczasowych punktów bibliotecznych, które nie mogły już ani pomieścić księgozbioru, ani nie spełniały wymogów technicznych przewidzianych dla tego rodzaju obiektów. Bibliotekę budowano przez ponad pięć lat, jej oficjalne otwarcie nastąpiło dopiero we wrześniu 1973 roku. Nie wiem, co stało się tego przyczyną, że tak długo powstawała ta placówka, ale wiem, że przez cały ten czas (i chyba jeszcze dłużej), każde przedwiośnie sygnalizowało mi swoje nadejście tym charakterystycznym słodkawym zapachem i krzykiem wron, które stadami unosiły się nad dawnym cmentarzem.

Jeszcze dzisiaj, kiedy przechodzę przy pięknie zagospodarowanych terenach obok biblioteki, noszącej teraz nazwę Koszalińskiej Biblioteki Publicznej, słyszę krzyk wron, tylko zapachu już nie czuję. Nigdy nie starczyło mi czasu, a może odwagi, by się zainteresować tym, jak przebiegały prace ekshumacyjne na byłym cmentarzu i co się stało z płytami nagrobnymi i medalionami, na których wcześniej odczytywałam pisane gotykiem nazwiska pochowanych tam osób.

Pamiętam też inne budowy i przeobrażenia terenów koszalińskich. Do jednej z takich wielkich budów należało tworzenie alei XXX-lecia (dziś Monte Cassino) z estakadą łączącą osiedle Północ z drugą stroną, czyli ulicą Niepodległości (wcześniej trzeba było przechodzić przez podmokłą łączkę i kładkę na Dzierżęcince). Do dzisiaj jestem dumna, że brałam udział w tym przedsięwzięciu. Przed mającymi się odbyć w roku 1975 krajowymi dożynkami w Koszalinie w czynie społecznym

wraz z pracownikami innych zakładów pracy wyrównywałam (łopatą i grabiami) tereny w okolicy przejścia pod torami kolejowymi nad ulicą Morską i przy dworcu kolejowym w Koszalinie.

Były też, niestety dosyć częste w tamtych czasach, upiększenia prowizoryczne lub wykonywane na pokaz, dla zaspokojenia na potrzeb chwili. Nie mam tu na myśli powszechnych wówczas czynów społecznych załóg pracowniczych wykonywanych dla uczczenia świąt państwowych, ale kosztowniejsze „okazjonalne" rozwiązania. Jedną z takich inwestycji na pokaz było „odnowienie" z okazji wspomnianych dożynek w 1975 roku domów przy ulicach, którymi miała przejeżdżać delegacja władz centralnych. I tak, żeby przypodobać się gospodarzowi dożynek – pierwszemu sekretarzowi Komitetu Centralnego PZPR, towarzyszowi Edwardowi Gierkowi – pięknie odnowiono fasady (wyłącznie – fasady) kamieniczek przy ulicy Armii Czerwonej (obecnie – marszałka Józefa Piłsudskiego), a przy ulicy Młyńskiej, na wysokości Biblioteki Wojewódzkiej, pomalowano na pastelowe kolory frontowe ściany domów, pozostawiając dziury i odpadający tynk od strony podwórek.

Również z okazji dożynek w sąsiedztwie wcześniej już wybudowanego (również z przeznaczeniem na uroczystości dożynkowe) stadionu Klubu Sportowego „Gwardia" przy ulicy Juliana Fałata, gdzie miała miejsce główna uroczystość, przygotowano teren na okolicznościową wystawę rolniczą – wybetonowany i oświetlony plac. Jednak ten wielohektarowy teren, do dzisiaj znany wśród mieszkańców Koszalina jako „tereny podożynkowe", przez wiele lat (chyba do czasu przeznaczenia go na plac targowy, gdzie obecnie odbywa się tak zwana giełda) był miejscem niewykorzystanym i ulegał degradacji.

Są jednak w Koszalinie obiekty i instalacje zrealizowane wprawdzie z myślą o uświetnieniu w 1975 roku krajowej imprezy, które oparły się różnym trendom oraz upływowi czasu i do tej pory przynoszą chlubę miastu i uznanie dla ich projektantów i wykonawców. Taką inwestycją było z pewnością zainstalowanie w niedawno wybudowanym amfiteatrze stałego dachu nad widownią mogącą pomieścić około sześć tysięcy osób. Zaprojektowana przez profesora Jana Filipkowskiego z Wyższej Szkoły Inżynierskiej w Koszalinie (poprzedniczki Politechniki Koszalińskiej) konstrukcja wspierająca się na roz-

ciągniętych linach stanowiła (i chyba nadal stanowi) unikatowe rozwiązanie w skali kraju. Lekki łuk dachu, mający w zamyśle autora symbolizować tęczę, sprawia wrażenie, jakby się unosił w powietrzu. I chyba ten dach amfiteatru koszalińskiego można uznać za klamrę łączącą wczoraj i dziś, Koszalin końca ubiegłego wieku z Koszalinem XXI wieku. Wybudowana niedawno koszalińska filharmonia w sąsiedztwie amfiteatru dowodzi możliwości koegzystencji starego z nowoczesnością, przeszłości z teraźniejszością, a w czasie, kiedy tęcza wywołuje tyle kontrowersji i emocji, można ją, jak w Koszalinie, traktować jako obiekt, który nie dzieli, lecz łączy...

Ludmiła Raźniak

Wspomnienie pionierki

Do Koszalina przyjechałam wraz z rodzicami z malowniczego, pełnego zabytków Sandomierza. Był rok 1948, pierwsze wrażenie – gdy wyszłam z wypalonego dworca kolejowego bez dachu – było szokujące. Po prawej, gdzie dzisiejszy dworzec autobusowy, na niewielkim wzniesieniu ujrzałam długą, strzechą krytą wiejską chałupę (dzisiaj takie jedynie w skansenach). Widok w żaden sposób nie kojarzył mi się z miejscem, w którym chciałabym zamieszkać. Spojrzałam wprost na ulicę Karola Świerczewskiego (obecnie Dworcową) – też nie wyglądała imponująco, wydawało mi się, że nie może prowadzić do jakiegokolwiek śródmieścia. Na lewo ujrzałam ładną cienistą aleję (chyba kasztanową), która zrodziła optymistyczną myśl: pewnie prowadzi do centrum. Jakże się myliłam! Spalone, w gruzach leżące śródmieście znów poddało w wątpliwość moje wyobrażenie o mieście, w którym chciałabym zamieszkać.

ROK URODZENIA: 1932

MIEJSCE URODZENIA: Sandomierz

DROGA DO KOSZALINA: Sandomierz, Szczecin

OD KIEDY W KOSZALINIE: 1948 r.

ZAWÓD (WYUCZONY, WYKONYWANY): księgowa

IMIONA I NAZWISKA RODZICÓW: Leon Ferdek ∞ Maria z d. Szczerbik

MIEJSCA URODZENIA RODZICÓW: Czeladź-Sosnowiec ∞ Opole Lubelskie

ZAWODY RODZICÓW: kupiec ∞ pracownik umysłowy

IMIONA I NAZWISKA DZIADKÓW: Jan Ferdek ∞ Marcjanna z d. Bakalarz || Paweł Szczerbik ∞ Anna z d. Marcinkiewicz

ZAWODY DZIADKÓW: ogrodnik ∞ prowadzenie domu i wychowywanie dzieci || wysokiej klasy rzemieślnik bednarz ∞ wychowywała siedmioro dzieci

Bardzo trudno było otrzymać jakieś mieszkanie, dostępne były tylko rudery wymagające kapitalnego remontu. Po kilku latach dostałam mieszkanie służbowe, dopiero po wielu latach spółdzielcze, a w międzyczasie musiałam wynajmować.

Mijały lata... Z powojennych zgliszczy podnosiło się powoli miasto, jeszcze brzydkie, ale z czasem dostrzegłam urodę okolicznych lasów, jezior i morza. Uczyłam się, dorastałam. Rodziców przedwcześnie zabrał nielitościwy los (1948, 1952). Wraz z dwójką młodszego rodzeństwa mieliśmy trudny start w dorosłość, tym bardziej, że w owych latach nie otrzymaliśmy żadnej renty po rodzicach ani jakiegokolwiek wsparcia od państwa czy miasta.

Klasa IX LO im. Dubois, autorka stoi trzecia z prawej, park, marzec 1950 r.; archiwum rodzinne Ludmiły Raźniak

Po latach pracy, już jako emerytka, postanowiłam oddać się drzemiącym we mnie pasjom – malarstwu artystycznemu (olej, akwarela) i poezji.

Pionierskie wspomnienia lat młodości i późniejsze, kiedy zapuściłam już na dobre korzenie w mieście mojego przeznaczenia, opisałam w wielu wierszach, z których cztery przytaczam poniżej:

Pionierzy Koszalina

Zawieruchą historii z różnych krańców ziemi
rzuceni na niepewny pełen trudu los
wykuwali cegła po cegle z gruzów wojny
miasto przyszłości swojej i dzieci swych

korzeniami wrośli... choć pamięć nosiła
wspomnienia innych rodzimych stron
tęsknili...
z każdym dniem jednak rosła nadzieja
przekuwana w nowy pracy i umysłu czyn

prawem natury zaludniali miasto
które nie bez trudu rosło wzdłuż i wszerz
piękniało... zieleniało... tętniło nowym życiem
stare... powoli odchodziło w przeszłość

czas rzeźbił zmarszczki na strudzonych licach
niektórych na wieczny odpoczynek
do mogiły kładł
ci którzy pozostali są kartą historii
żywą – choć upłynęło siedemdziesiąt lat

Autorka w parku nad stawem, 1957 r.; archiwum rodzinne Ludmiły Raźniak

Autorka (z prawej) z koleżanką w parku, ok. 1958 r.; archiwum rodzinne Ludmiły Raźniak

Pionierzy Koszalina lub ostatni Mohikanie
zależy jaki kto stosunek do historii ma
trwałymi zgłoskami wpisali się w przeszłość tej ziemi
– czy pamiętać ich będą... ci którzy po nas...?
Powojenny Koszalin
z ruin i zgliszczy
odrodził się jak feniks
z popiołów otrzepał skrzydła
do lotu się wzbił
i... coraz szersze
zatacza kręgi
od super Forum
po bryzy morskiej pył

nowe osiedla sięgają Jamna
europejski chcą wieść prym
z projektów budynek
nowoczesnej filharmonii się wyłonił
akwapark (który po nocach się śni)
i dworzec na miarę przyszłości
(lub na miarę sił)

spełnienia marzeń życzę mu
spełnienia lotów wysokich
choć wizji tych
chyba nie doczekam już
pomarzyć...
zawsze jestem gotów

Koszalin – moje miejsce na ziemi

Zielenie... przestrzenie...
– to miasto moje
Koszalin – od lat
los sprawił – wyjechałam
za ocean... na długo...
posmutniałam... zatęskniłam... nostalgicznie
do powietrza
mgieł porannych
i do temperatur zmiennych
do wiatru od morza
i do krzyku mew
które we mnie rosły i wołały

Wykopki ziemniaków, pracownicy Przedsiębiorstwa Handlu Sprzętem Rolniczym „Agroma" z Koszalina, autorka druga z lewej, PGR Karczyno, gm. Bobolice, październik 1960 r.; archiwum rodzinne Ludmiły Raźniak

Wykopki buraków w czynie społecznym,
pracownicy Wydziału Finansów WRN w Koszalinie,
autorka czwarta od prawej z burakiem w ręce,
wieś pod Koszalinem, 1961 lub 1962 r.;
archiwum rodzinne Ludmiły Raźniak

jak tęsknoty zew
powróciłam... zrozumiałam
gdzie moje miejsce na ziemi
i tak już zostanie... i nic tego nie zmieni

Wczoraj... i dziś
w mieście nad Dzierżęcinką

moja młodość zaledwie wczoraj
z dystynkcją szeleściła sztywną halką
podkreślając kibić osy
nosiła bajecznie kolorowe spódnice
z artystycznie malowanych kretonów (na story)
wytrwale (choć nie bez zmęczenia)
wystawała w tasiemcowych kolejkach
niemal po wszystko: tenisówki, szpilki
i inne artykuły codziennego użytku...

mimo to z wdziękiem baletnicy
i roześmianą marzeniami twarzą
biegała na spotkania z chłopcem
i nie wiadomo co stukało głośniej

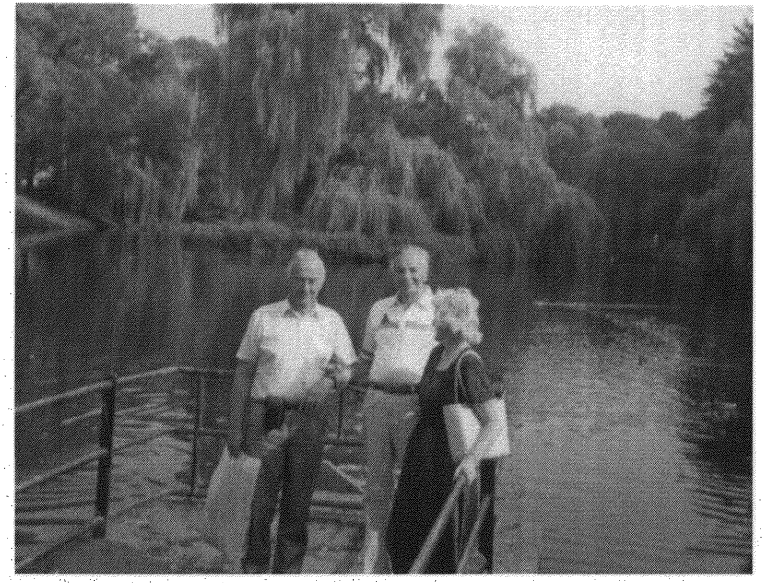

Autorka z mężem i znajomym, park, ok. 1990 r.;
archiwum rodzinne Ludmiły Raźniak

Autorka na działce przy ul. Traugutta, ok. 2005 r.;
archiwum rodzinne Ludmiły Raźniak

Autorka (w środku), Regina Adamowicz (z prawej) i Małgorzata Chodyńska, Festiwal Integracji Osób Niepełnosprawnych „Ja i Ty", pl. Polonii, ok. 2007 r.; archiwum rodzinne Ludmiły Raźniak

„szpilki" po bruku... czy zauroczone serce
on... już czekał z kwiatami i wymownym spojrzeniem
romantyzm rodzącej się miłości
uskrzydlał... oboje

i choć o własne M nie było łatwo
przezwyciężając trudy powojennego życia
wili wspólne gniazdko...

spadały kartki dni i lat kalendarzy
słońce uczuć i wiatr przeciwności
hartowały ciało i ducha
wahadła czasu zatrzymać nie sposób
posrebrzył skronie
siateczką zmarszczek jak popękanym werniksem
pokrył twarze
ale lustrzane odbicie
w oczach tej drugiej połowy
wciąż miało dwadzieścia lat

choroba i przejście na tamtą
bez powrotu stronę rozdarło boleśnie

rażona jak piorunem z wypalonym wnętrzem
znieruchomiałam... na długi... długi... czas

z popiołów jak feniks
z trudem prostując połamane skrzydła
odradzało się życie... inne...
samotnie podążam alejką przeznaczenia
czasem serce mocniej zabije...
ale nie z uniesienia uczuć z arytmii

z pożogi życia ocalały
słoneczne wspomnienia
i pasja malowania słowem...
i pędzlem

Często z nostalgią wspominam miasto mojego dzieciństwa – przepiękny Sandomierz, położony na siedmiu wzgórzach, w zakolu Wisły. Ale w moim sercu znalazło się miejsce na miłość do obu miast.

Autorka podczas indywidualnej wystawy malarstwa, 2013 r.; archiwum rodzinne Ludmiły Raźniak

Teresa Soroka

Moje miasto Koszalin

Mogę powiedzieć – moje miasto Koszalin – gdyż jestem z nim związana już kilkadziesiąt lat (z krótką przerwą). Mieszkałam z rodzicami we wsi Wyszewo niedaleko miasta, ojciec często nas do niego zabierał. Jednak bliższy kontakt z Koszalinem utrzymuję od września 1952 roku, kiedy rozpoczęłam naukę w mieszczącym się przy ulicy Jedności Liceum Pedagogicznym, które miało specjalizację języka rosyjskiego. Naszym wychowawcą był nauczyciel rosyjskiego. Miał z nami trochę problemów, gdyż była to klasa żeńska, a rozpiętość wieku dziewcząt to czternaście–dziewiętnaście lat w pierwszej klasie. Wychowawcę bardzo lubiłyśmy, a na nasze zachowania patrzył z przymrużeniem oka. Klasa nie była bardzo liczna, a z każdym rokiem ubywało dziewcząt. Na egzaminie maturalnym z 1956 roku zdawałam polski, matematykę, no i oczywiście rosyjski.

Rok urodzenia: 1938

Miejsce urodzenia: Wiktorów, gm. Wojsławice, woj. łódzkie

Droga do Koszalina: Korczew k. Zduńskiej Woli, woj. łódzkie

Od kiedy w Koszalinie: na stałe od 1961 r.

Zawód (wyuczony, wykonywany): nauczycielka

Imiona i nazwiska rodziców: Władysław Chrystek ∞ Antonina z d. Duszyńska

Miejsca urodzenia rodziców: Blaszki k. Kalisza ∞ koło Zduńskiej Woli

Zawody rodziców: leśniczy ∞ bez zawodu

Imiona i nazwiska dziadków: ? || Kazimierz ∞ Magdalena Duszyńscy

Zawody dziadków: rolnicy

Matura otworzyła przede mną wrota kariery pedagogicznej, którą rozpoczęłam nakazem pracy w szkole podstawowej w Wyszewie. Potem pracowałam w szkole podstawowej w Łeknie, klasy były wtedy niezbyt liczne, a moja liczyła około dwunastu uczniów. To z kolei bardzo mocno kontrastuje z klasą, jaka przypadła mi do wychowania w Koszalinie, niezwykle liczna – ponad czterdziestu uczniów. Uczyłam (głównie geografii) w kilku szkołach Koszalina, ale najdłużej w Szkole Podstawowej nr 15. Część lat pracowałam w bibliotece szkolnej ze względu na kłopoty z gardłem. Pracując w szkole nr 15, skończyłam studia z geografii w Wyższej Szkole Pedagogicznej w Słupsku. Po trzydziestu pięciu latach pracy przeszłam na emeryturę z „piętnastki".

Pamiętam, jak zrujnowane było miasto po wojnie. Ten okres najbardziej mi zapadł w pamięć. Codziennie przez cały rok szkolny przemierzałam ulicę Zwycięstwa od dworca autobusowego do parku. Po drodze mijałam pozostałe po wojnie budynki – zniszczone, niektóre jednak w miarę ocalałe.

Egzamin maturalny, Liceum Pedagogiczne przy ul. Jedności, 1956 r.; archiwum rodzinne Teresy Soroki

Tam, gdzie dziś znajduje się „Dom Mody Polskiej", stały zrujnowane domy, w ich suterenach rozwijał się cały handel. Można tam było kupić przede wszystkim ubrania. Przy katedrze mieścił się sklep obuwniczy (teraz stoi tam pomnik Jana Pawła II). Oferowano w nim bardzo ładne obuwie – głównie ze skórki, ale też bardzo drogie. Buty dla mnie kosztowały całą miesięczną pensję mojego ojca, który pracował jako leśniczy.

Do szkoły skręcało się z ulicy Zwycięstwa przed parkiem, ale zanim tam dotarłyśmy z koleżankami, najpierw wstępowałyśmy do małej piekarni po świeże ciepłe bułeczki – to był rarytas!

Nie pamiętam już wielu osób. Na pewno długo siedziałam w jednej ławce z Władzią Kramek. Zapamiętałam Marysię Hodun, Zosię Hałaburę (później po mężu Korczyńska), nieraz spotykam Kazię Myślak (Mikita). Po ukończeniu szkoły rozproszyłyśmy się nie tylko w Koszalinie, ale też po całej Polsce.

Do matury w 1956 roku przygotowywałyśmy się w ciepłe dni na obrzeżach cmentarza niemieckiego – obecnie znajduje się tam park z biblioteką. Pamiętam leżące zniszczone płyty nagrobne.

Klasa prowadzona przez autorkę w szkole podstawowej w Łeknie, 1960 r.; archiwum rodzinne Teresy Soroki

Przedwojenny Koszalin to małe, spokojne miasteczko – można to zobaczyć na starych rycinach i widokówkach. Od 1945 roku zaczął się zmieniać. Początkowo wielu z nas dziwiło się, jak szybko, na przykład pola uprawne zamieniano w wielkie osiedla mieszkaniowe.

Obecnie miasto jest wręcz niepodobne do tego z lat pięćdziesiątych. Z roku na rok staje się piękniejsze i atrakcyjniejsze, a ja nie mam ochoty się z nim rozstawać. Po tych kilkudziesięciu latach jestem do Koszalina bardzo przywiązana. Czuję się tu bezpiecznie, bo wiem, że jestem u siebie – w domu.

Autorka ze swoją klasą w Szkole Podstawowej nr 4 w Koszalinie, 1964 r.; archiwum rodzinne Teresy Soroki

Hanna Śniegocka

Wspomnienie o pionierach miasta Koszalina

Moi Rodzice urodzili się, spędzili dzieciństwo i skończyli szkoły w Gnieźnie. Zdobyli zawody: Tata – kupca bławatnego, Mama – księgowej. Poznali się w pracy w uznanej gnieźnieńskiej firmie Alfonsa Drzewieckiego. Po odbyciu praktyk awansowali na stanowiska: Tata – przedstawiciela handlowego, Mama – prowadzącej administrację i księgowość. Ślub Rodziców miał miejsce 22 czerwca 1939 roku w zabytkowym kościółku w Łubowie koło Gniezna.

Nadszedł wrzesień. Rozpoczęła się wojna. Praca w firmie, w której byli zatrudnieni Rodzice, zmieniła się w przymus pod niemieckim nadzorem. Budynek, w którym mieszkali, zajęło Gestapo. Mieszkańców wyrzucono.

Rodzice znaleźli niewielkie mieszkanie w domu przy centralnej ulicy Gniezna. Zamieszkaliśmy tam już w pięcioro – Babcia (Mama mojej Mamy), Mama, Tata, mój mały Bratek Jerzy i ja.

ROK URODZENIA: 1940

MIEJSCE URODZENIA: Gniezno

DROGA DO KOSZALINA: Korczew k. Zduńskiej Woli, woj. łódzkie

OD KIEDY W KOSZALINIE: 23 sierpnia 1945 r.

ZAWÓD (WYUCZONY, WYKONYWANY): –

IMIONA I NAZWISKA RODZICÓW: Zbigniew Śniegocki (1910–1971) ∞ Maria Izydora z d. Nieczkowska (1908–2001)

MIEJSCA URODZENIA RODZICÓW: oboje Gniezno

ZAWODY RODZICÓW: kupiec bławatny ∞ księgowa

IMIONA I NAZWISKA, ZAWODY DZIADKÓW: Ludwik Śniegocki (1882–1967) – rzemieślnik malarz z duszą artysty ∞ Rozalia Bronisława z d. Krysztafkiewicz (1887–1947) || Maksymilian Nieczkowski (1869–1910) – przedsiębiorca, właściciel firmy instalacji wodno-kanalizacyjnych ∞ Władysława Julia z d. Gruszczyńska *primo voto* Nieczkowska, *secundo voto* Langowa

Przed przeprowadzką umeblowanie z dużego mieszkania i – co niezwykle ważne – skrzynię z pamiątkami obu rodzin Tata złożył do przechowania (!) w magazynach firmy spedycyjnej B. Hoffmanna w Gnieźnie. I co przetrwało do zakończenia wojny? Nic. Hale magazynowe rozgrabiły i spaliły wojska radzieckie. Na zawsze pozostał żal, że najcenniejsze rodzinne pamiątki uległy zniszczeniu. A mieszkanie? Znów nas wyrzucono, ponieważ kamienice przy tej ulicy Gniezna zostały przeznaczone dla rodzin niemieckich.

I co zrobił mój przedsiębiorczy Tata? Znalazł w budynku przy małej uliczce u podnóża gnieźnieńskiej katedry pomieszczenie piwniczne – pralnię z suszarnią (odwiedziłam to miejsce w 1983 roku). Rodzice w miarę skromnych możliwości zagospodarowali je do zamieszkania. I tam doczekaliśmy końca wojny.

Powrót do przedwojennego mieszkania okazał się niemożliwy. Dom zajęty przez Gestapo zaanektowało NKWD (Ludowy Komisariat Spraw Wewnętrznych). Rodzina została bez domu. I jeszcze wiosną 1945 roku do Gniezna z wojennej tułaczki wrócili Dona i Wacław Suszkowie – siostra mojej Mamy z mężem. Też bez domu. Decyzja obu Rodzin – kierunek Koszalin.

Wspomnienie o mojej Cioci i Wujku – pionierach miasta Koszalina – to oddzielna opowieść.

Tata przyjechał do Koszalina 10 maja 1945 roku. Moja Babcia, Mama, Bratek i ja dotarliśmy 23 sierpnia.

Tata znalazł mieszkanie przy obecnej ulicy Jana Matejki 17 (kamienice przy tej ulicy były już opustoszałe). Mieszkanie wyremontował i urządził. Otworzył także przy ulicy Zwycięstwa 25 (obecnie centrum Cegielskiego) firmę „Z. Śniegocki Bławaty – Bielizna".

Wszystkie przedmioty wyposażenia mieszkania zostały przez Tatę zakupione od państwa polskiego i spłacane przez parę lat w ratach z funduszy wypracowanych w firmie.

Miał rozpocząć się nowy, szczęśliwy okres dla mojej Rodziny. Niestety, ówczesne władze najpierw potrzebowały ludzi do organizacji powojennego życia miasta. Później, na początku lat pięćdziesiątych, doprowadziły do zniszczenia (podkreślam – zniszczenia) wielu prywatnych firm w Koszalinie, w tym mojego Taty.

To nie wszystko. 13 czerwca 1950 roku Tata otrzymał pisemny nakaz do natychmiastowego opuszczenia mieszkania przy ulicy Jana Matejki. Dlaczego? Ponieważ zadbane już lokale zostały przeznaczone dla urzędników i działaczy partyjnych właśnie tworzonego województwa koszalińskiego (powołane 6 lipca 1950 roku). Tacie wskazano miejsce przenosin – zdewastowane wspólne mieszkanie przy obecnej ulicy Dworcowej. Liczne odwołania nie poskutkowały. Z pomocą przyszli przyjaciele państwo Masełkowscy, którzy odstąpili mojej Rodzinie część swojego mieszkania (drugie piętro) w nieistniejącej już kamieniczce przy obecnej ulicy ks. bp. Czesława Domina.

Niestety, to nie koniec niepowodzeń. Tata jako przedstawiciel tak zwanej prywatnej inicjatywy nie mógł znaleźć pracy. Po wielu staraniach został zatrudniony w dziale fi-

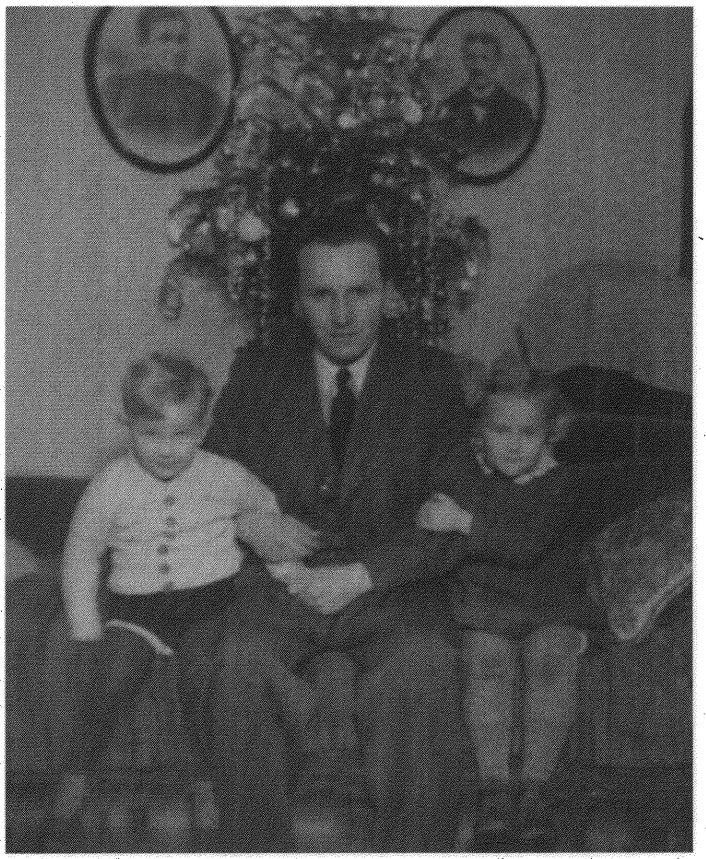

Zbigniew Śniegocki z dziećmi Hanną i Jerzym w mieszkaniu przy ul. Cierpięgi 7 w Gnieźnie, w tle ocalałe portrety rodziców Marii Śniegockiej – Władysławy Julii i Maksymiliana Nieczkowskich, 1944 r.; archiwum rodzinne Hanny Śniegockiej przekazane do Archiwum Państwowego w Koszalinie

nansowym Zakładów Mięsnych w Koszalinie. Później pracował w Powszechnej Spółdzielni Spożywców „Pionier" – przekształconej w Wojewódzką Spółdzielnię Spożywców „Społem" w Koszalinie – w charakterze prowadzącego sklep i nauczyciela zawodu.

Mama najpierw pracowała z Tatą w jego firmie, później samodzielnie w kilku instytucjach w Koszalinie, by po latach wrócić do wspólnej pracy. Rodzice prowadzili razem sklep „Renoma" przy ulicy Dworcowej. Mama swoje życie zawodowe związała z prowadzeniem księgowości, każdorazowo poznając działalność danej instytucji.

Tata w październiku 1971 roku z powodu poważnej choroby kardiologicznej musiał przerwać pracę. Otrzymał rentę. Zmarł dwa miesiące później – 22 grudnia 1971 roku. Miał zaledwie sześćdziesiąt jeden lat.

Mama do 1975 roku życia pracowała – w jakim charakterze? Oczywiście księgowej. Zmarła 14 sierpnia 2001 roku w wieku dziewięćdziesięciu trzech lat.

Maria i Zbigniew Śniegoccy z córką Hanną przed wyjazdem do Koszalina, Gniezno, 1945 r.; archiwum rodzinne Hanny Śniegockiej przekazane do Archiwum Państwowego w Koszalinie

Hobby Taty – szachy, gra na skrzypcach, opera poznańska. Hobby Mamy – książki i filmy.

Wszystkie opisane wydarzenia znajdują potwierdzenie w dokumentacji rodzinnej przekazanej Archiwum Państwowemu w Koszalinie, Muzeum w Koszalinie, Bankowi PKO BP, Politechnice Koszalińskiej (Wydział Humanistyczny).

Pozazawodowa działalność Rodziców w Koszalinie:

~ Zrzeszenie Kupców i Przedsiębiorców w Koszalinie – Tata (lata czterdzieste);
~ Koszalińskie Towarzystwo Społeczno-Kulturalne – Mama;
~ komitety rodzicielskie w szkołach.

Rozrywki w Koszalinie w latach czterdziestych:

~ spotkania z przyjaciółmi i znajomymi – przyjęcia, brydż;
~ Warszawska Opera Objazdowa (spektakle w obecnym Centrum Kultury „105");
~ koszalińskie teatry amatorskie (nawet operetka!);
~ majowe dni książki (nie pamiętam dokładnej nazwy);
~ biblioteka (obok katedry) prowadzona przez Marię Pilecką (siostrę rotmistrza Witolda Pileckiego);
~ biblioteka parafialna przy katedrze;
~ kino (późniejsza „Adria"), z wyjątkowo zapamiętanym przeze mnie „Hamletem" Laurence'a Oliviera – filmem obejrzanym z Tatą (byłam chyba najmłodszym widzem);
~ amatorskie muzykowanie w domu z przyjaciółmi (mieliśmy pianino i skrzypce).

Wypoczynek w Koszalinie:

~ wybrzeże Bałtyku o każdej porze roku;
~ czasami dojazd nad morze koszalińską dorożką z przystankiem w Mścicach w gospodzie, gdzie razem z Bratkiem pałaszowaliśmy wiejski chleb z masłem, popijając maślanką;

- w późniejszych latach pociąg do Mielna (naturalnie lokomotywa parowa z wagonami towarowymi).

Przyjaciele i znajomi (zapewne tylko niektóre nazwiska):

- Achramowiczowie;
- Bazylowie (Stefania – pierwsza modystka w Koszalinie);
- Branieccy (właściciele jednej z pierwszych masarni w Koszalinie);
- Broczkowska (nauczycielka w Szkole Podstawowej nr 1);
- Ćwikowie (właściciele jednej z pierwszych piekarni w Koszalinie);
- Dajewscy (właściciele fabryki mydła „Elerta");
- Dyjakowska (krawcowa);
- Fiedorowiczowie;

Hanna i Jerzy Śniegoccy, Koszalin, lata 40.–50.;
archiwum rodzinne Hanny Śniegockiej
przekazane do Archiwum Państwowego w Koszalinie

~ Głowaccy;
~ Górscy (Klemens – inspektor szkolny);
~ Jóźwiak (jeden z pierwszych fryzjerów w Koszalinie);
~ Kosiccy (sąsiedzi z ulicy Jana Matejki);
~ Krzyżaniakowie (sąsiedzi z ulicy Jana Matejki);
~ Kuińscy (Czesław – kierownik Szkoły Podstawowej numer 1);
~ Marszał;
~ Masełkowscy;
~ Minikowscy (żona prowadziła teatr amatorski);
~ Nawroccy (właściciele pralni chemicznej);
~ Peredniowie;
~ Pikutowscy (mąż pracował w szkolnictwie);
~ Pilarscy (właściciele pierwszej drogerii w Koszalinie);
~ Pilikowscy (pierwsi księgarze w Koszalinie);
~ Słomkowscy;
~ Sidorowicz (pierwszy organista w kościele pw. Niepokalanego Poczęcia Najświętszej Maryi Panny w Koszalinie – obecnie katedra);
~ Springer (sąsiadka);
~ Sulistrowscy;
~ Szarkowscy;
~ Świetlikowie (właściciele firmy spedytorskiej);

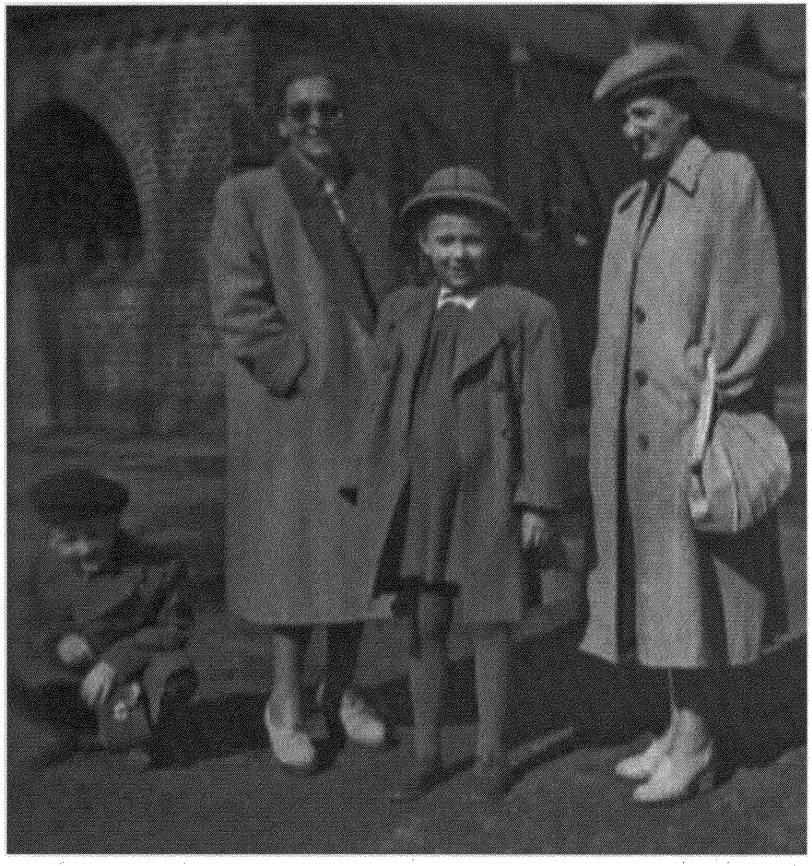

- Świniarscy;
- Szukszta (właściciel pierwszej apteki w Koszalinie);
- Weissowie;
- Zander;
- Zawadzcy (sąsiedzi);
- Żądło (Czesława – nauczycielka gry na pianinie).

Jerzy Śniegocki, Domicela Suszkowa, Hanna Śniegocka, Maria Śniegocka na Cmentarzu Komunalnym. Koszalin, lata 40.–50.; archiwum rodzinne Hanny Śniegockiej przekazane do Archiwum Państwowego w Koszalinie

Stefania Tomaszewska

Razem z pierwszą pocztą

Do Koszalina trafiłam wraz z Mamą i Rodzeństwem z Ciężkowic, miejscowości położonej w pobliżu Tarnowa. Był maj lub czerwiec 1945 roku. Wcześniej – już w marcu tego roku – do Koszalina przybył mój Ojczym – Józef Sowa. Został wraz z sześcioma innymi pocztowcami skierowany przez Dyrekcję Okręgu Pomorskiego Poczt i Telegrafów w Bydgoszczy do służby w Obwodowym Urzędzie Pocztowym w Koszalinie. Zapaleńcy przyjechali, by uruchomić pierwszą polską placówkę pocztową w najdalej wówczas wysuniętej na zachód wyzwolonej miejscowości – Koszalinie.

Według relacji Ojczyma, a także wspomnień jego kolegi pocztowca Bazylego Kuzynkowa, zostali oni podwiezieni bodajże do Polanowa, resztę drogi przebyli pieszo. Opowiadali, że z daleka zobaczyli przepiękne miasto otoczone lasami. Byli autentycznie zauroczeni tym widokiem.

ROK URODZENIA: 1939

MIEJSCE URODZENIA: Parchanie, pow. inowrocławski

DROGA DO KOSZALINA: Tarnów, Poznań, Ciężkowice

OD KIEDY W KOSZALINIE: maj lub czerwiec 1945 r.

ZAWÓD (WYUCZONY, WYKONYWANY): nauczycielka fizyki, inżynier budownictwa, od 1959 r. związana ze Stowarzyszeniem Teatru Propozycji „Dialog", obecnie jego wiceprezeska

IMIONA I NAZWISKA RODZICÓW: Franciszek Wójcik ∞ Stefania z d. Półkoszek

MIEJSCA URODZENIA RODZICÓW: Bruśnik ∞ Skrzyszów

ZAWODY RODZICÓW: rolnik ∞ bez zawodu

IMIONA I NAZWISKA DZIADKÓW: ze strony mamy Agnieszka z d. Boryczko

ZAWODY DZIADKÓW: ?

Mój Ojczym to człowiek bardzo utalentowany, potrafił zrobić praktycznie wszystko. Uszył samodzielnie polską flagę, którą wywiesił już 26 marca 1945 roku na budynku poczty przy dzisiejszej ulicy Dworcowej. Zastanawiałam się, z czego on tę flagę mógł wykonać. Pewnie z wsypy z poduszki, bo skąd by wziął czerwony materiał? Biały chyba z prześcieradła albo jakiejś koszuli.

Pierwsza poczta w Koszalinie – UPT Koszalin 2 – rozpoczęła swoją działalność 27 marca 1945 roku w budynku przy obecnym przejściu podziemnym do dworca PKP. Przedtem mieścił się tam niemiecki urząd pocztowy. Na początku było trudno, nie było odpowiednich druków. Pomimo tego Ojczym wraz z resztą ekipy zorganizowali w ciągu dwóch dni polską placówkę.

Oddelegowani z Bydgoszczy pocztowcy przybywają do Koszalina pieszo prawdopodobnie z Polanowa, 23 III – 25 III 1945 r.; archiwum rodzinne Stefanii Tomaszewskiej przekazane do Archiwum Państwowego w Koszalinie

Moje życie jako dziecka koncentrowało się w okolicach dworca. W pobliżu znajdowały się bunkry, tam bawiliśmy się – najczęściej w wojnę.

Jak wyglądał Koszalin? Przyjechali tu ludzie, którzy chcieli tworzyć nowe życie dla siebie i dla tego miasta. Na początku znajdowało się w nim mnóstwo mieszkań i domów do wzięcia. Stało wiele niezamieszkanych willi, na przykład na dzisiejszej ulicy Ogrodowej. Osadnicy jednak najczęściej zajmowali skromniejsze mieszkania w centrum miasta – z prostej przyczyny – to gwarantowało względne bezpieczeństwo. Generalnie nie odczuwano szczególnego zagrożenia, chociaż zdarzały się przypadki szabrownictwa w opuszczonych domach. Przy ulicy Zwycięstwa,

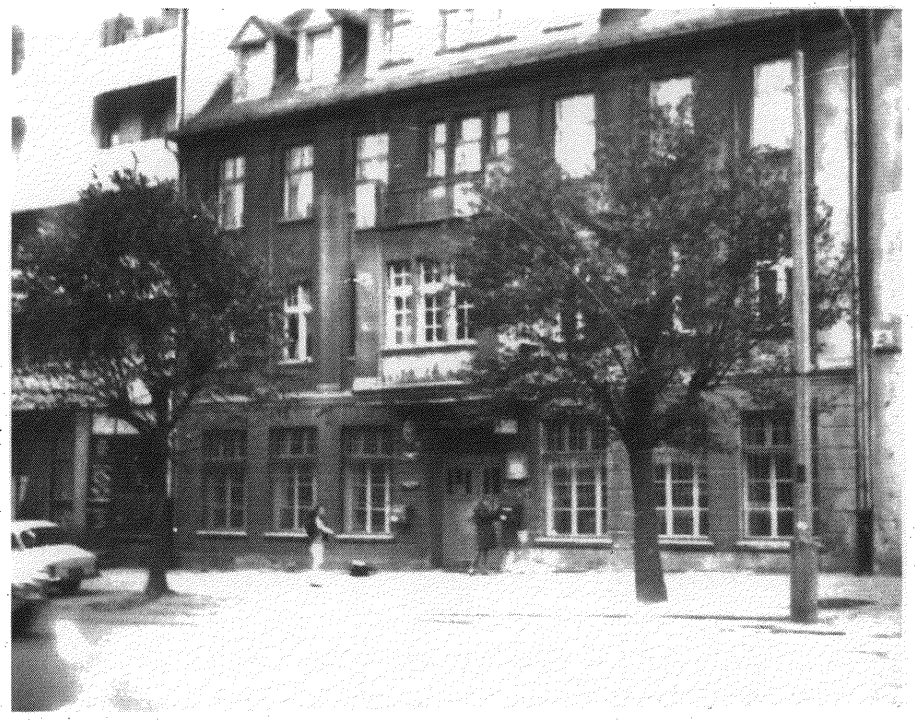

Urząd Pocztowy nr 4 przy ul. Świerczewskiego, 1970 r. – w 1945 r. pierwsza placówka pocztowa UPT nr 2 w Koszalinie przy ul. Dworcowej; archiwum rodzinne Stefanii Tomaszewskiej przekazane do Archiwum Państwowego w Koszalinie

przed katedrą stały ocalałe budynki, a od ulicy 1 Maja do parku zachowały się tylko dwie kamienice. Reszta zabudowań została zniszczona.

Każdy robił w tamtych czasach to, co umiał. Otwierano sklepy masarskie, piekarnie, uwidoczniła się ta szalona pracowitość Polaków. Ponieważ były problemy z szewcami, pierwsze buty Ojczym zrobił mi sam. Nieraz się zastanawiałam, skąd znajdowało się wtedy w ludziach tyle entuzjazmu. Prawdopodobnie stąd, że po odzyskaniu wolności chcieli pracować, bawić się i budować nowe życie w poczuciu odzyskanego bezpieczeństwa. Wszyscy wszystkim pomagali, tkwiła w nas jakaś taka otwartość i szczerość.

Szkoły zaczęły działać w mieście prawie natychmiast. Ja poszłam do I klasy do szkoły numer 2, potem przerzucano mnie – nie wiem dlaczego – najpierw do szkoły numer 1, potem do tej przy ulicy Jedności. Po interwencji Ojczyma w Wydziale Oświaty zaczęłam ostatecznie chodzić do szkoły numer 2.

Nie sposób nie wspomnieć o wspaniałych nauczycielach. Moją wychowawczynią została pani Ada Hajduk, kobieta wyjątkowej urody, jedna z piękniejszych w Koszalinie. Pamiętam również panią Gąsowską, państwa Rudzinów. Byli to ludzie często bez wyższego wykształcenia, ale tak mnie nauczyli, że potem bez problemu przeszłam wszystkie szczeble edukacji. Właśnie dzięki nim – tym nauczycielom z podstawówki. Pedagodzy wtedy byli bardzo biedni, ich pensje można nazwać głodowymi.

Po ukończeniu szkoły podstawowej zaczęłam naukę w Liceum im. Stanisława Dubois. Miało to miejsce w okropnym czasie lat pięćdziesiątych. W szkole stosowano wówczas chyba jakiś system radziecki, na koniec roku musieliśmy zdawać egzaminy z każdego przedmiotu. Ogólnie ten okres wspominam niezbyt miło, jednak nie z winy nauczycieli, ale panującej wówczas sytuacji.

Pamiętam, że w pierwszych latach po wojnie w okolicy dzisiejszego amfiteatru działała kawiarnia, od wiosny do jesieni były rozstawione stoliki i przygotowane miejsca zabaw dla dzieci. Koszalinianie przychodzili tam całymi rodzinami, by posłuchać orkiestry i zjeść najlepsze w mieście ciastka. Często spacerowaliśmy z Rodzicami po naszym pięknym parku, wo-

kół stawu z wysepką, na której przesiadywały łabędzie. Na terenie dzisiejszego stadionu „Bałtyk" znajdowały się również korty tenisowe.

Kobiety ubierały się wtedy w stylu lat dwudziestych – w eleganckie sukienki i kapelusze. Do naszego domu przychodziła krawcowa, brała miarę i obszywała Mamę i mnie w sukienki, garsonki i płaszczyki na cały sezon. Można powiedzieć, że do roku 1948 panował nastrój lat międzywojennych. Zaopatrzenie w handlu było znakomite.

Na nabożeństwa chodziliśmy do katedry. Pamiętam, że znajdowały się w niej balkony i że było ciepło. Pewnie dlatego, że wchodziło się albo od kruchty, albo od zakrystii. Pamiętam dzień, kiedy do Koszalina przyjechał kardynał August Hlond. Miało to miejsce w 1946 roku. W kościele zgromadził się wielki tłum – żebym mogła cokolwiek zobaczyć, Ojczym posadził mnie sobie na ramiona, a po mszy powiedział, żebym zapamiętała, że widziałam kardynała Hlonda.

Pochód pocztowców i innych mieszkańców, ul. Zwycięstwa, po lewej stronie rynek, prawdopodobnie maj 1947 r.; archiwum rodzinne Stefanii Tomaszewskiej przekazane do Archiwum Państwowego w Koszalinie

Ważnym dla mnie momentem był wyjazd do Mielna z okazji jakiegoś święta. Z tej okazji zawieziono nas nad morze odkrytymi ciężarówkami. Wszyscy stali, żeby zmieściło się więcej ludzi, a ja – mała dziewczynka – nie widziałam niczego oprócz nieba. W Mielnie wjechaliśmy w pierwszą boczną uliczkę, tam gdzie stał ten piękny drewniany zameczek, który kilka lat temu spłonął. Kiedy ciężarówka podjechała do plaży w okolicy dzisiejszego hotelu „Meduza", wszyscy zaczęli krzyczeć z wrażenia, że widzą tyle wody. A ja patrzyłam w górę, widziałam niebo i zastanawiałam się, dlaczego tak wrzeszczą – czy morze to niebo? Wspomnienie to pozostało mi na całe życie. Dopiero chwilę potem zobaczyłam ten ogrom wody, to dla mnie naprawdę niezapomniany moment.

Później do Mielna jeździło się pociągiem towarowym.

Maszerują pocztowcy, pierwszy z prawej – Józef Sowa, ul. Zwycięstwa, prawdopodobnie 1947 r.; archiwum rodzinne Stefanii Tomaszewskiej przekazane do Archiwum Państwowego w Koszalinie

Wsiadało się do wagonu, ławki wokół, drzwi otwarte. Kiedy miałyśmy z kuzynkami trochę więcej lat, siedziałyśmy w czasie jazdy w tych otwartych drzwiach i machałyśmy nogami. To letnisko wyglądało wówczas niesamowicie: poniemieckie domki świetnie utrzymane, do tego mnóstwo zieleni, wspaniała architektura, piękna promenada i wszechobecny spokój. Teraz, niestety, niewiele z tego zostało.

I tyle… W ten sposób zapisał się w mojej pamięci Koszalin z tych najwcześniejszych lat – zburzony, biedny, ale dający ludziom schronienie i nadzieję na lepszy czas.

Autorka, luty 2015 r.;
fot. Robert Borucki,
Archiwum Państwowe w Koszalinie

Zygmunt Wujek

Perspektywy dawne i nowe

Po raz pierwszy przyjechałem do Koszalina w 1957 roku z Poznania, na Ogólnopolski Zjazd Związku Harcerstwa Polskiego. Po Październiku '56 było to wielkie wydarzenie w skali kraju i nądzieja dla tysięcy harcerzy z całej Polski, że odnowa przyniesie wielką odmianę. W 1963 roku otrzymałem stypendium z Koszalina, z Prezydium Wojewódzkiej Rady Narodowej, i przyjechałem tu po ukończeniu najpierw Studium Nauczycielskiego, a potem studiów rzeźbiarskich w 1965 roku.

Na początku uczyłem w Technikum Budowlanym, później prowadziłem Galerię Klubu Międzynarodowej Prasy i Książki. Pracowałem również w Przedsiębiorstwie Zieleni, a także współpracowałem z Pracownią Sztuk Plastycznych. Udzielałem się społecznie w Związku Artystów Plastyków.

Kiedy powstało w Koszalinie Liceum Plastyczne, podjąłem pracę tam, by po latach na stałe związ-

Rok urodzenia: 1938

Miejsce urodzenia: Rawicz

Droga do Koszalina: Poznań

Od kiedy w Koszalinie: 1963 r.

Zawód (wyuczony, wykonywany): nauczyciel, artysta rzeźbiarz

Imiona i nazwiska rodziców: Kazimierz Wujek ∞ Marta z d. Słoma

Miejsca urodzenia rodziców: Domachowo k. Gostynia ∞ Westfalia (Niemcy)

Zawody rodziców: nauczyciel ∞ pracownik biurowy

Imiona i nazwiska dziadków: Jakub Wujek ∞ Zofia z d. Celka || Stanisław ∞ Maria Słomowie

Zawody dziadków: kolejarz ∞ bez zawodu || murarz ∞ bez zawodu

zać się z Wydziałem Mechanicznym (kierunek wzornictwo) Politechniki Koszalińskiej. Z tą uczelnią jestem związany do dzisiaj i po uzyskaniu stopnia doktora habilitowanego nadal prowadzę zajęcia.

Jak wyglądał Koszalin wtedy, na początku mojego pobytu? To nie było wielkie miasto, nie przekraczało pięćdziesięciu tysięcy mieszkańców. Było jeszcze bardzo zaniedbane. Właściwie dopiero po dożynkach, w 1975 roku, nastąpiła generalna przebudowa miasta z wyznaczeniem zupełnie nowych układów komunikacyjnych. Ale wtedy, na początku, była taka wielka nadzieja, gdyż Koszalin posiadał możliwości i właściwie wszystkich specjalistów, z różnych dziedzin. Był w trakcie przygotowywania się do dużego skoku.

Wernisaż autora w Klubie MPiK w Koszalinie, 1967 r.; archiwum rodzinne Zygmunta Wujka

Poszukiwanie nowych kadr w momencie, gdy miasto odbudowywało się i rozwijało, gdy powstawało nowe województwo, okazało się bardzo cenne. Rozwój przebiegał dynamicznie. W tych latach Koszalin zwiększył Kiedy przyjechałem do Koszalina po raz pierwszy, w 1957 roku, podstawowym wrażeniem, jakie wtedy wyniosłem, było to, że miasto jest

niezwykle młode. Nie było widać jeszcze emerytów tak jak teraz. Przybywali tu ludzie ze wszystkich stron Polski. Pochodzili z Poznańskiego, Bydgoskiego, Kieleckiego i oczywiście ze Wschodu – Wołynia, Lwowa i Wilna. Odczuwało się jeszcze pamięć o okresie międzywojnia. To była nasza kultura, ona pozostała i tkwi w nas zresztą do dzisiaj. Wszystko to przekładało się na taki niezwykły panujący tu optymizm, który i mnie się udzielił, więc zostałem.

Zawsze starałem się kierować zasadą, żeby nie wciskać się w ciżbę, lepiej być jednym ze stu niż jednym z tysiąca. Uważam, że to zdrowa zasada. Ale wymaga odpowiedniego podejścia. Panuje przekonanie, że ludziom w dużym mieście łatwiej jest się rozwijać. Może tam łatwiej o pracę. Ale jeśli chodzi o kształtowanie swojej osobowości, to już gorzej.

Jakie nazwiska kojarzą mi się z tymi najwcześniejszymi latami mojego pobytu w Koszalinie?

Bardzo dużo zawdzięczam profesorowi Tadeuszowi Gasztoldowi. Był to absolwent Uniwersytetu Wrocławskiego, znakomita szkoła, historyk z wykształcenia, patriota i do tego wilniuk, autor wielu książek. Szkoda, że tak młodo odszedł.

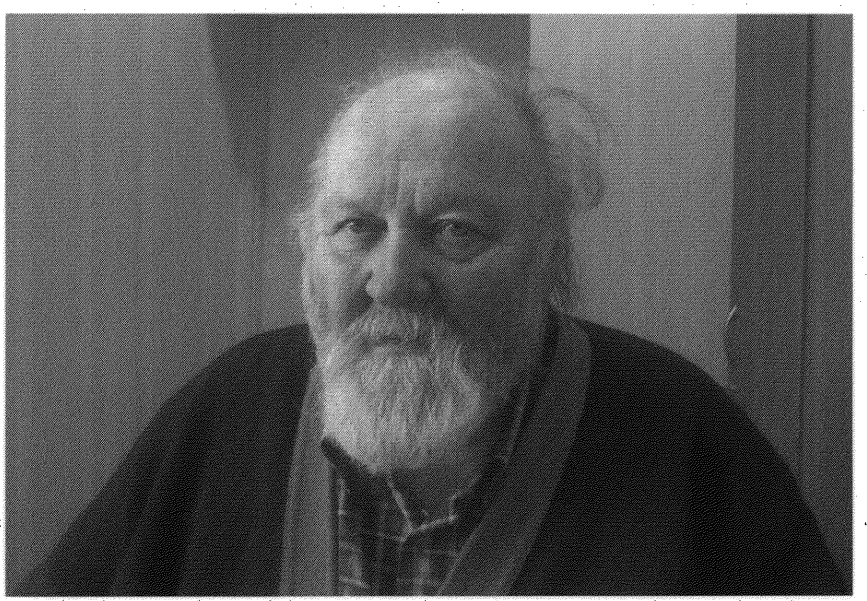

Autor, 2015 r.; fot. Robert Borucki, Archiwum Państwowe w Koszalinie

Osobą niezwykłą, doświadczoną przez los – przeszedł Syberię, był też Jerzy Miller, który jednoczył wiele środowisk kombatanckich, szczególnie Sybiraków. Także państwo Gabriela i Andrzej Cwojdzińscy, którzy odegrali wielką rolę w środowisku muzycznym w Koszalinie. Marian Okulicz, który był inspiratorem, a właściwie wnioskodawcą powstania pomnika Józefa Piłsudskiego w Koszalinie. Ci ludzie byli wypełnieni nie tylko przeżyciami, to były całe życiorysy, nadające się na kanwę filmu.

Jeżeli chodzi o nauczycieli, bardzo ważną postacią była Czesława Żądło, jedna z pierwszych nauczycielek Liceum im. Stanisława Dubois. Smutne jest to, że jej grób jest totalnie zniszczony i o mały włos zostałby przekopany. Na szczęście zainterweniowali jej byli uczniowie. I to jest ważne, sprawa pamięci nie tylko historycznej, ale i kulturowej.

Senator Gabriela Cwojdzińska i poseł Franciszek Sak składają wieniec pod pomnikiem ofiar bolszewizmu w Koszalinie (pomnik wykonał autor i Dariusz Bachura), 19 XI 1989 r.; archiwum rodzinne Zygmunta Wujka

Znamienna dla tamtej rzeczywistości jest historia rodziny Pruteckich. Ona po obozach, po kaźniach na Majdanku i Ravensbrück, on przeżył wschodni Tobruk i Monte Cassino. W 1947 roku spotkali się na rynku w Koszalinie. A potem ona musiała chować swojego męża w cieniu i mimo że był mechanikiem, specjalistą od czołgów, musiał pracować przy niej jako technik dentystyczny. Takie to były czasy.

Wielokrotnie ci ludzie, którzy przygotowywali kadry na tym terenie, są dzisiaj w cieniu, na przykład rektor Jerzy Smoleński, który zainicjował rozwój Wyższej Szkoły Inżynierskiej (dzisiejszej Politechniki Koszalińskiej) czy profesor Jan Filipkowski, który jest twórcą, konstruktorem naszego amfiteatru. Nie doczekali się, niestety, jeszcze żadnej monografii.

Biskup Ignacy Jeż, obejmując w 1972 diecezję koszalińsko-kołobrzeską, powiedział, że jesteśmy gospodarzami zaszłej przeszłości i powinniśmy być świadomi tego, że ją kontynuujemy. To bardzo ciekawe spostrzeżenie człowieka, który przeżył obóz kon-

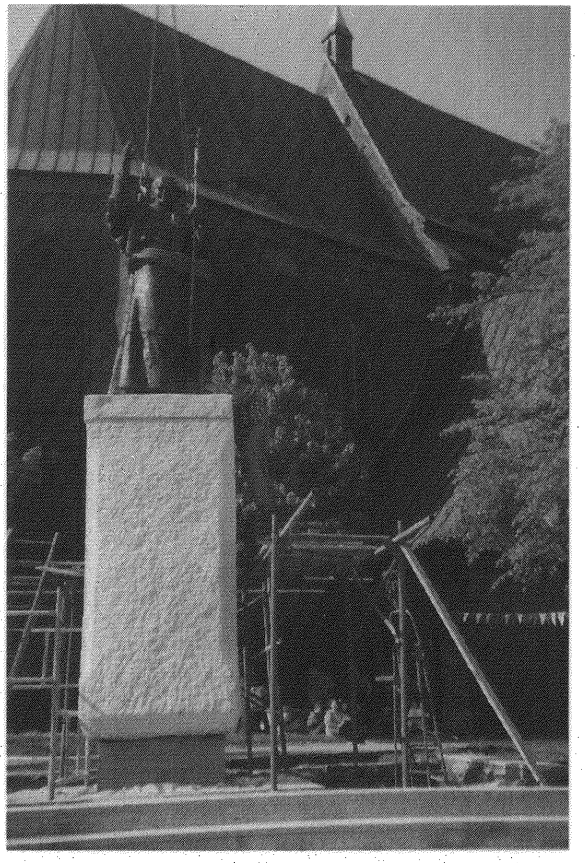

Autor w trakcie montażu pomnika Jana Pawła II przed koszalińską katedrą (obelisk i płytę z brązu wykonał autor), maj 1996 r.;
archiwum rodzinne Zygmunta Wujka

centracyjny Dachau i tu, w Koszalinie pozostawił trwały ślad. Są to takie przesłania duchowe, ale i intelektualne, których ja szczególnie poszukuję.

Kultura stanowi spoiwo naszego bycia tutaj. Pamiętajmy, że jako Polacy jesteśmy tu dopiero od trzech pokoleń. W skali regionu powstało kilka projektów, które weszły do historii sztuki, np. Osieki, dokąd przyjeżdżała czołówka artystów z Polski i nie tylko. Wydarzenie to weszło do obiegu w ogólnopolskiej kulturze, to rzadkość. Potem były chóry polonijne, niezwykle ważne wydarzenie. Powstawały liczne kluby, teatry amatorskie i zawodowe.

Autor (drugi z lewej) na otwarciu wystawy poświęconej uczestnikom poznańskiego Czerwca 1956 r., Galeria „Scena" Wojewódzkiej Biblioteki Publicznej w Koszalinie, 1996 r.; archiwum rodzinne Zygmunta Wujka

Nie sposób tu nie wspomnieć o Władysławie Hasiorze. Nie trafił do Koszalina przypadkiem. Brat Władysława Kozdry, I sekretarza KW PZPR w Koszalinie, zginął przy pacyfikacji oddziałów Józefa Kurasia „Ognia". Na pomniku

poległych, który robił Hasior, znajduje się jego nazwisko. A ponieważ w Szczecinie ten artysta robił pomnik podobny do naszego, z ptakami, to Kozdra ściągnął go potem do Koszalina. Stworzył dzieło nieprzeciętne, które ma różne podteksty, ale chyba najważniejszym przesłaniem jest to, że jak ptaki zlecieliśmy się tutaj z różnych stron. Dzisiaj pomnik ten doskonale wkomponował się w historię miasta. Dorobek artystyczny Hasiora jest nieprzeciętny i chwalebne, że nie dopuszczono do zlikwidowania tego dzieła, a pojawiały się takie wnioski.

Współczuję rzeźbiarzom, którzy pracowali w latach sześćdziesiątych, jak np. Xawery Dunikowski, który podlegał różnym naciskom. Zresztą i inni profesorowie w tamtym czasie, z jednej strony musieli się podporządkować, a z drugiej strony chcieli tworzyć coś zupełnie nowego.

Od wielu lat jestem członkiem Rady Ochrony Pomników. W latach siedemdziesiątych od Hieronima Kro-

Autor w trakcie renowacji figury Matki Boskiej z Dzieciątkiem na elewacji kościoła pw. Podwyższenia św. Krzyża w Koszalinie, lata 90. XX w.; archiwum rodzinne Zygmunta Wujka

czyńskiego, ówczesnego dyrektora Muzeum Oręża Polskiego w Kołobrzegu, wyszła inicjatywa, aby powstał pomnik pułkownika Antoniego Sułkowskiego, który zdobył pierwszy fort w Kołobrzegu, w czasie wojen napoleońskich. Dotyczyło to również upamiętnienia pobytu Sułkowskiego w Koszalinie. Przewodniczący tego spotkania stwierdził autorytatywnie, że nie będziemy czcili pamięci tych, którzy są wrogami Związku Radzieckiego. No i widzimy znienawidzonego Napoleona w nowej wersji historycznej...

Strona polityczna uczestniczyła wtedy bardzo intensywnie w życiu kulturalnym, teraz rzadko się to zdarza. To znaczy politycy są, przychodzą, otwierają, ale to uczestnictwo jest zupełnie innego rodzaju. Stąd cała grupa pionierów teraz dopiero zaczyna się aktywizować, ujawniać swoje dawne przeżycia. Można mówić o wielu rzeczach, wcześniej tego nie czyniono z różnych względów, głównie politycznych. Po traumie, jaką była wojna czy przeżycia syberyjskie, łagry, trafili wreszcie do ojczyzny, chociaż bywało, że trzeba się było później spowiadać w Urzędzie Bezpieczeństwa. Nie możemy mieć pretensji, że nie mamy źródeł wiedzy o tamtych ludziach, często po-

Montaż pomnika gen. Władysława Sikorskiego (wykonanego przez autora) przed galerią „Emka" (po wielomiesięcznych sporach pomnik przeniesiono w 2003 r. na ul. Dworcową); z archiwum rodzinnego Zygmunta Wujka

zbywano się wszelkich dokumentów, żeby nie było śladów.

Poza tym ci ludzie zostali inaczej wychowani, oni nie mówili o swojej walce o Polskę, nie wypadało nawet o tym mówić, skromność nie pozwalała.

Jeśli chodzi o sam Koszalin, jest on jeszcze ciągle w trakcie rozwoju i to we wszystkich dziedzinach. Po utracie statusu województwa musimy wiele zmienić, każdy z nas właściwie pracuje w tej chwili nad przebudową nie tylko struktur przemysłowych, ale i innych dziedzin, w tym kultury. Jesteśmy w tej chwili prowincją, ale prowincją znaczącą, a nie umiemy sobie tego w pełni uzmysłowić. Dlaczego jest tak, że nie podejmujemy kroków bardziej radykalnych, jeżeli chodzi o rozwój naszego miasta? Celowo akcentuję ten fakt, że Pomorze Środkowe ma wielką rolę do odegrania, opiera się bowiem o starą, wielowiekową kulturę Kaszubów

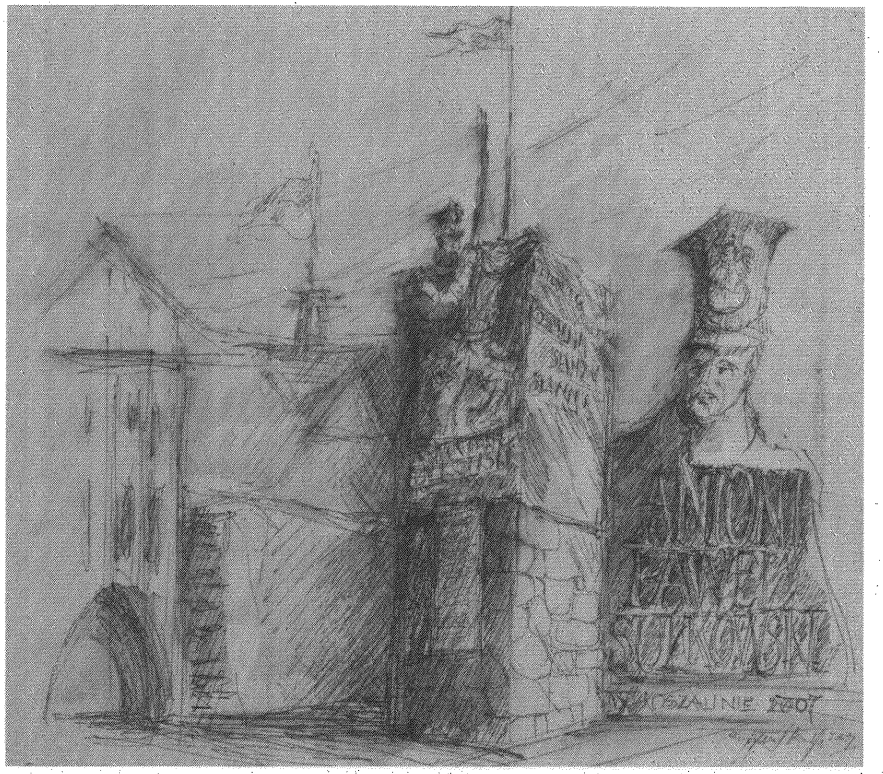

Koncepcja pomnika Antoniego Pawła Sułkowskiego projektu autora, 2007 r.; archiwum rodzinne Zygmunta Wujka

oraz inne stare kultury wniesione praktycznie z całej Polski. Region ten stanowił zawsze pewną specyfikę i pozostało to do dzisiaj. Chociaż należymy do Szczecina, Pomorze Środkowe pozostało enklawą zupełnie inną kulturowo.

Jeśli chodzi o ludzi, nie znam lepszego układu, także genetycznego, który by odnowił nie tylko nasze aspiracje do tej ziemi, ale także wiedzę oraz intelekt. Nie nadążamy z wieloma dziedzinami, na przykład ze szkolnictwem zawodowym czy rozwojem drobnego przemysłu. Zaniechaliśmy rozwijania elektroniki w Koszalinie, która kiedyś stanowiła naszą nadzieję. Nie będę wymieniał mankamentów, ale w tej chwili jest takie trwanie w zawieszeniu. Cała psychologia tego nowego społeczeństwa wymaga radykalnych przemian, ale przede wszystkim wizji, czym będzie Koszalin w następnych dwudziestu, trzydziestu latach na Pomorzu Środkowym.

Andrzej Żebrowski

Moje spotkania z ziemią koszalińską

Moje korzenie sięgają Litwy, wchodzącej wówczas w skład Rzeczpospolitej, gdzie moja rodzina zamieszkiwała od ponad czterystu lat. Urodziłem się w Wilnie w 1940 roku. Trwała wojna. Wówczas tereny te zajęła armia radziecka. W lipcu 1941 roku wkroczyli do Wilna Niemcy, tworząc marionetkowe państwo litewskie. W czerwcu 1944 roku wrócili „krasnoarmiejcy" i wtedy już moja rodzina wiedziała, że to koniec pobytu na ziemi ojców. W 1945 roku, w ramach repatriacji, opuściliśmy Wilno i po dwutygodniowej podróży koleją dotarliśmy do Łodzi. Tam ukończyłem szkołę średnią.

Potem los zetknął mnie z ziemią zachodniopomorską. W 1958 roku rozpocząłem studia w Wyższej Szkole Rolniczej w Szczecinie. I tak pozostałem na Pomorzu do dzisiaj, przez pięćdziesiąt siedem lat.

ROK URODZENIA: 1940

MIEJSCE URODZENIA: Wilno

DROGA DO KOSZALINA: Wilno, Łódź, Szczecin

OD KIEDY W KOSZALINIE: 1969 r.

ZAWÓD (WYUCZONY, WYKONYWANY): mgr inż. rolnictwa

IMIONA I NAZWISKA RODZICÓW: Wiktor Żebrowski ∞ Wanda z d. Wartman

MIEJSCA URODZENIA RODZICÓW: Czernihowo (Białoruś) ∞ Orsza (Białoruś)

ZAWODY RODZICÓW: inż. rolnictwa ∞ pielęgniarka

IMIONA I NAZWISKA DZIADKÓW: Wiktor Żebrowski ∞ Katarzyna z d. Hrehorowicz || Witold Wartman ∞ Maria z d. Woyna-Jasieniecka

ZAWODY DZIADKÓW: właściciele ziemscy

Moje kontakty z ziemią koszalińską rozpoczęły się jednak znacznie wcześniej. W 1948 roku przyjechałem pierwszy raz na obóz harcerski Chorągwi Ziemi Łódzkiej do Darłowa. Należałem do drużyny „wilczków" – najmłodszych harcerzy. Zamieszkaliśmy w baraku obok Zamku Książąt Pomorskich. Starsi harcerze rozbili namioty nad rzeką, przy zamku. Jego część leżała w gruzach, ale samo miasto nie było zniszczone. W barakach, gdzie mieszkaliśmy, znajdowały się łóżka piętrowe po placówce Hitlerjugend. Pełno było tam ubrań i opasek z „HJ", a także szpadli i wideł ze swastykami. Narzędzia te wykorzystywaliśmy my, harcerze do prac porządkowych i odgruzowywania zamku. Nad morze chodziliśmy piechotą do Darłówka. Z plaży widzieliśmy zatopione barki i małe kutry oraz jeden duży okręt. Do użytku wydzielona była część plaży już rozminowana, sześć-

Autor (pierwszy z prawej) w stadninie koni w Białym Borze, 1973 r.; archiwum rodzinne Andrzeja Żebrowskiego

set–siedemset metrów w prawo od ujścia rzeki. Chodzenie dalej, poza wyznaczony teren było zabronione. Jeden z harcerzy poszedł jednak poza ogrodzenie i wyleciał na minie. Był to czarny dzień dla obozu.

Z Darłowa zrobiono nam wycieczkę traktorami do Koszalina i wówczas pierwszy raz los zetknął mnie z tym miastem. Pamiętam centrum, bardzo zniszczone. Byliśmy w kościele na mszy. Ponownie zobaczyłem Koszalin w 1952 roku, gdy przyjechałem do mojej rodziny, zamieszkałej przy ulicy Rybackiej 6. U jej wylotu kończyło się miasto. Znajdowały się tu pola i sady oraz duże gospodarstwo rolne, gdzie hodowano krowy. Chodziliśmy tam po mleko. Część pracowników stanowili wówczas Niemcy. Koszalin wtedy już posiadał status miasta wojewódzkiego, który uzyskał w roku 1950, choć częściowo była to jednak wielka wieś.

Ponownie do Koszalina przyjechałem w 1960 roku. Widać było, że miasto się rozrasta. Powsta-

Autor na zawodach jeździeckich w Pieńkowie, 1973 r.; archiwum rodzinne Andrzeja Żebrowskiego

Grupa dyrektorów Ośrodków Hodowli Zarodowej na wystawie zwierząt w Kłosie koło Koszalina w ramach centralnych dożynek w Koszalinie, autor z plakietką komisarza wystawy, 1975 r.; archiwum rodzinne Andrzeja Żebrowskiego

Autor otwiera zawody jeździeckie z okazji centralnych dożynek w Koszalinie, Biały Bór, 1975 r.; archiwum rodzinne Andrzeja Żebrowskiego

ło wiele dróg asfaltowych (wcześniej na przedmieściach były w większości drogi polne). Wybudowano wiele domów. Widziało się jednak rolniczy charakter tego miasta i okolicy. Powstały lub rozwinęły działalność duże zakłady przetwórstwa, jak roszarnia lnu, mleczarnia, zakłady piwowarskie, przetwórstwo mięsne, elewatory zbożowe. W mieście znajdowały się siedziby instytucji regionalnych o charakterze rolniczym, jak Zjednoczenie PGR, Centrala Nasienna, Stacja Chemiczno-Rolnicza, Stacja Oceny Zwierząt. Powołanie do życia Akademii Rolniczej w Szczecinie 1954 roku dało impuls do szybszego rozwoju tych ziem, których siedemdziesiąt procent gruntów stanowiły gospodarstwa państwowe. Były jednak słabe ekonomicznie, bez inwestycji i kadry. Często pracę w rolnictwie przy siewie i zbiorach wykonywało wojsko, więźniowie i uczniowie szkół.

W celu szybszego rozwoju tych ziem powołano w 1965 roku pierwsze Ośrodki Hodowli Zarodowej w Bobrownikach, pow. słupski, oraz w Zegrzu i Mścicach, pow. koszaliński. W 1969 roku staraniem

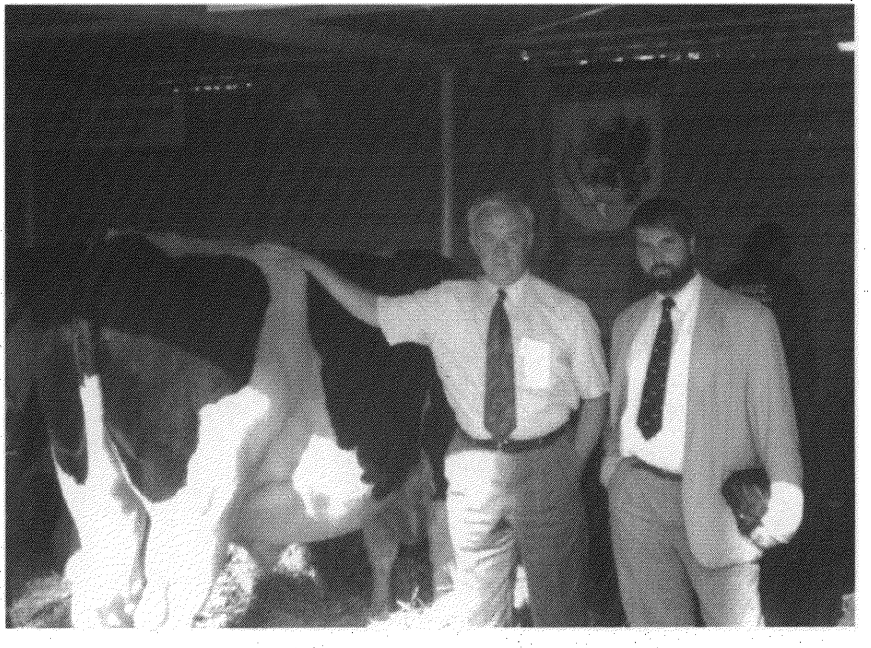

Autor na stoisku Stacji Hodowli i Unasienniania Zwierząt ze Szczecinka podczas Krajowej Wystawy Zwierząt w Warszawie, po lewej nagrodzony buhaj Stalowy, 1996 r.; archiwum rodzinne Andrzeja Żebrowskiego

niezapomnianego doktora Pawła Warchoła, dyrektora Krajowego Zjednoczenia Hodowli Zarodowej w Warszawie, utworzono w Koszalinie Przedsiębiorstwo Hodowli Zarodowej. Do jego organizacji powołano na stanowisko dyrektora inżyniera Kazimierza Pąka, a mnie na zastępcę do spraw produkcji i hodowli. Przybyliśmy ze Szczecina, gdzie piastowaliśmy stanowiska kierownicze w rolnictwie.

W ciągu roku utworzono łącznie szesnaście Ośrodków Hodowli Zarodowej, powołanych z byłych PGR-ów. Była to decyzja słuszna. Ośrodki stały się kuźnią kadr i wzorem do naśladowania dla pozostałych gospodarstw państwowych i prywatnych. Z czasem powstała wielce ceniona hodowla zwierząt: krów, owiec i świń w Kombinatach PGR – Połczyn-Zdrój, Redło, Sycewice, Tychowo. Dziś tych nazw wielu nie pamięta lub wcale nie słyszało. A to właśnie one rozsławiły nasz region na wystawach krajowych i regionalnych, zdobywając championaty i złote medale.

Autor w czasie wystąpienia w imieniu Sejmiku Zachodniopomorskiego w Parlamencie Europejskim, Bruksela, 2002 r.; archiwum rodzinne Andrzeja Żebrowskiego

To dzięki tym sukcesom władze krajowe podjęły decyzję o przeprowadzeniu dożynek centralnych w Koszalinie w 1975 roku. Było to wówczas wielkie wyróżnienie i prestiż dla regionu. W ślad za decyzją poszły inwestycje w mieście i na wsiach. Wybudowano stadion sportowy, amfiteatr, przebudowano ulice śródmieścia i wyjazdowe z Koszalina. Obok stadionu powstały wiaty przystosowane do prezentacji wystawy dożynkowej i rolniczej. W Kłosie wybudowano bazę przeznaczoną do organizacji wystawy zwierząt. Było to miejsce wprost bajeczne. Na zboczach wzniesienia umiejscowiono budynki dla bydła, koni, owiec i świń, na znacznym obszarze – około czterech hektarów. Na komisarza całej wystawy rolniczej wojewoda powołał mgr. inż. Jerzego Gordziejczyka, który pełnił funkcję zastępcy dyrektora Wydziału Rolnictwa Urzędu Wojewódzkiego, a mnie – na komisarza wystawy hodowlanej. Pełniłem wówczas funkcję dyrektora Okręgowej Hodowli Zwierząt.

Autor z żoną Danutą
przed Ostrą Bramą w Wilnie, 2008 r.;
archiwum rodzinne Andrzeja Żebrowskiego

Dożynki były wielkim sukcesem organizacyjnym. Uczestniczyły w nich najwyższe władze państwowe na czele z Edwardem Gierkiem, pierwszym sekretarzem KC PZPR, i Piotrem Jaroszewiczem, premierem. Organizatorzy wykazali, że te ziemie to już nie „Dziki Zachód", jak mówiono o nas w Warszawie. W ślad poszły duże inwestycje, jak budowa Zakładów Zbożowych w Mścicach i Zakładów Mięsnych w Koszalinie. Przez szereg lat w bazie wystawowej w Kłosie organizowano rolnicze wystawy regionalne i wojewódzkie. Dziś mało kto słyszał lub pamięta o takich Ośrodkach Hodowli Zarodowej, jak Bobrowniki, Chocimino, Darłowo, Kłanino, Kuzice, Kwasowo, Mścice, Nacław, Ostrowiec, Pieńkowo, Skibno, Świelino, Świerczyna, Wyszebórz, Zegrze i Stadnina Ogierów w Białym Borze.

Autor wita ministra rolnictwa Jerzego Pilarczyka (z lewej) na stoisku Stacji Hodowli i Unasieniania Zwierząt podczas Targów Rolniczych „Polagra", Poznań, 2008 r.; archiwum rodzinne Andrzeja Żebrowskiego

Na terenie przedsiębiorstwa zatrudnialiśmy jedenaście tysięcy pracowników. Ośrodki posiadały własne stołówki, przedszkola, sekcje sportowe LZS, piłki nożnej i jeździectwa. Prawie wszystkie przedsiębiorstwa posiadały dodatnie wyniki finansowe. Decyzja o likwidacji niektórych z nich była bezmyślna. Niestety, dzisiaj pozostały już tylko dwa ośrodki: Mścice koło Koszalina i Bobrowniki koło Słupska. Należą one do przodujących gospodarstw w Polsce, wyniki w hodowli są często lepsze niż w krajach Europy Zachodniej. Pozostałe ośrodki zostały w trakcie przemian społecznych i ustrojowych sprzedane i przeszły głównie w ręce spółek zagranicznych, a szkoda.

Osiągnięcia te możliwe były dzięki wspaniałej kadrze – kompetentnej, profesjonalnej, odpowiedzialnej i zaangażowanej. Co roku wysyłaliśmy poprzez Stowarzyszenie Inżynierów Rolnictwa NOT po kilku młodych specjalistów na praktyki i staże

Dekoracja autora, wówczas dyrektora Stacji Hodowli i Unasieniania Zwierząt, Krzyżem Oficerskim OOP, odznaczenie wręcza poseł Stanisław Kopeć i wojewoda zachodniopomorski Stanisław Wziątek, Szczecinek, 2010 r.; archiwum rodzinne Andrzeja Żebrowskiego

do Czechosłowacji, Danii, Holandii, Niemiec, USA i Włoch. I dało to efekty. Dziś większość z tych ludzi odeszła na zasłużony odpoczynek lub nie żyje. Wszystkim im należą się słowa uznania i szacunku.

Poza pracą zawodową zajmowałem się także działalnością społeczno-polityczną. W latach 1995–1998 byłem radnym Rady Miejskiej w Koszalinie oraz delegatem do Sejmiku Samorządowego Województwa Koszalińskiego. Po reformie administracyjnej państwa w roku 1998 i likwidacji województwa koszalińskiego zostałem wybrany na radnego do nowo utworzonego Sejmiku Zachodniopomorskiego w kadencji 1999–2002. Natomiast w latach 2004–2006 wszedłem do Sejmiku Zachodniopomorskiego w miejsce zmarłego radnego Jerzego Mokrzyckiego (byłego wojewody koszalińskiego). W trakcie swojej pracy w obu Sejmikach pełniłem funkcję przewodniczącego Komisji Rolnictwa i Rozwoju Terenów Wiejskich.

Po zakończeniu ostatniej kadencji wycofałem się z pracy radnego na terenie województwa zachodniopomorskiego i skoncentrowałem się na działalności społecznej na szczeblu osiedla. Od 2008 roku do dziś jestem radnym Osiedla Morskiego w Koszalinie. Ponadto już trzecią kadencję zasiadam w Społecznej Radzie Szpitala w Koszalinie.

WYDAWCY

ARCHIWUM PAŃSTWOWE W KOSZALINIE

wydawnictwo JASNE

PARTNERZY

NACZELNA DYREKCJA ARCHIWÓW PAŃSTWOWYCH

STOWARZYSZENIE APERTIO

ISBN 978-83-61066-05-7
ISBN 978-83-61508-78-6
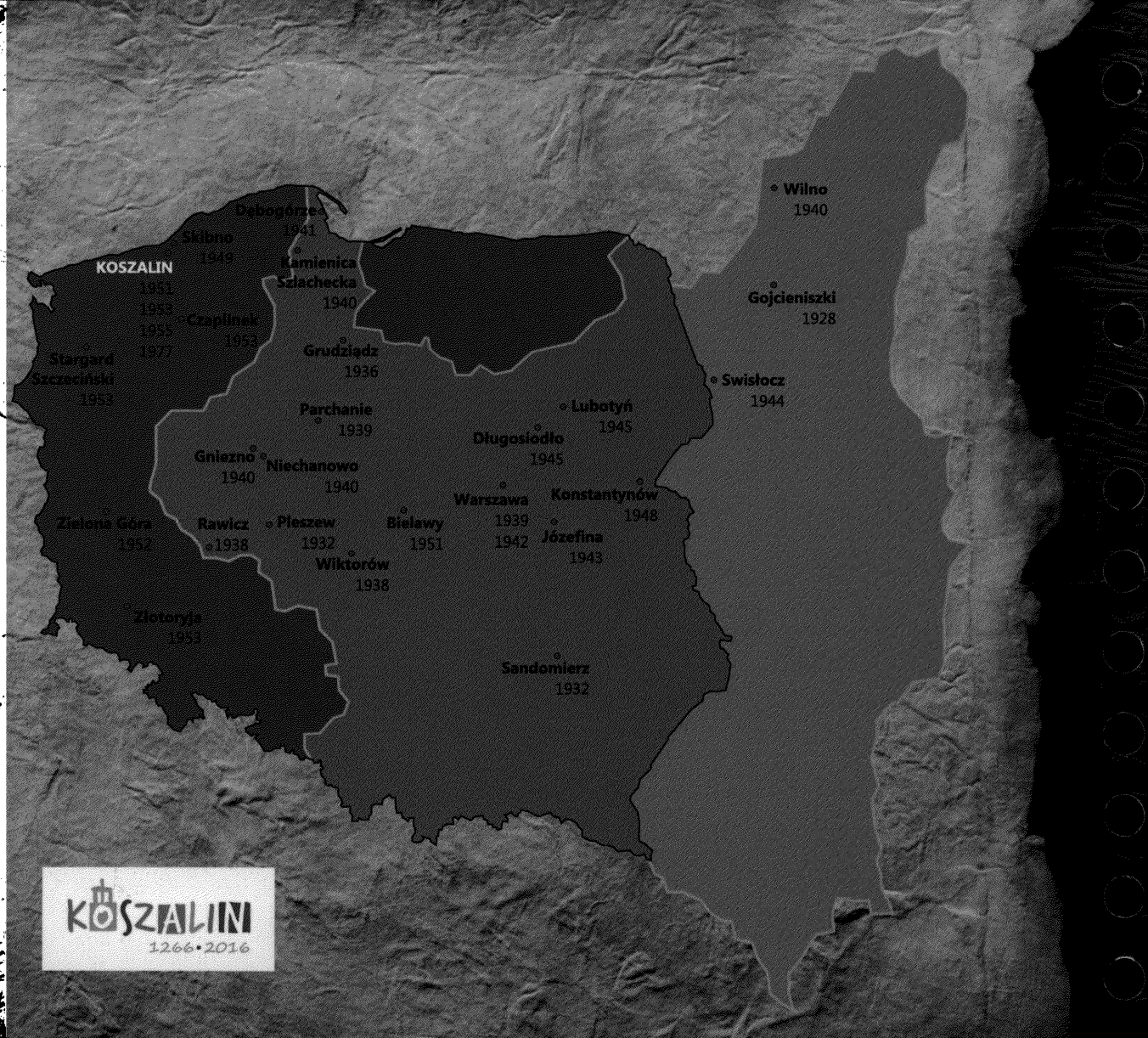
9 788361 508786